

# rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 26 (1140) 12 WRZEŚNIA 1982 R. CENA 12 ZŁ

## W NUMERZE:

○ Sakramencie Pokuty ● Kolonie letnie Kościoła Polskokatolickiego w Studziankach Pancernych ● Znaczenie Krzyża ● 25 lat pracy Biskupa Prof. Dr. Maksymiliana Rodego w Kościele Polskokatolickim



W Studziankach Pancernych, na skraju lasu, stoi Pomnik. To czołg. Jeden z tych, które brały przyczółek magnuszewski. Koło pomnika jest kilkadziesiąt grobów żołnierzy poległych w boju.

Dzieci biorące udział w koloniach letnich zorganizowa-

nych przez Kościół Polskokatolicki złożyły kwiaty pod Pomnikiem, oddały hołd poległym w obronie Ojczyzny, a później zrobiono zdjęcie.

O koloniach letnich piszemy wewnątrz numeru.



## PIĘTNASTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Galatów (5, 25—26; 6, 1—10)

Bracia: Jeśli żyjemy duchem, według ducha też i postępujemy. Nie sądzićcie chciwi próżnej chwały, jedni drugich drażnić i zazdrościć sobie nawzajem.

Bracia, jeśli by kto i dopuścił się jakiego przestępstwa, wy, którzy jesteście duchowi, pouczcie takiego w duchu łagodności, bacząc każdy na samego siebie, abyś i ty nie uległ pokusie.

Jeden drugiego brzemiona dźwigajcie, a tak wypełnicie zakon Chrystusowy. Albowiem jeśli kto mniema, że jest czymś, gdy niczym jest, sam siebie zwodzi. A każdy niech bada swe postępowanie, a tak tylko z siebie samego chlubić się będzie, a nie z innego. Każdy bowiem własne poniesie brzemień.

Ten, który pobiera naukę, niech wszystkimi dobrami swymi dzieli się z tym, który go naucza.

Nie ludźmy się: Bóg nie dozwoli naigrywać się z siebie. Bo co człowiek posieje, to i żąć będzie. Kto bowiem sieje w ciełe swoim, w ciełe też żąć będzie skażenie, a kto sieje w duchu, z ducha żąć będzie żywot wieczny.

Czyniąc przeto dobrze, nie ustawajmy, bo czasu swego żąć będziemy bez wytchnienia. Dlatego, póki czas mamy, czynmy dobrze wszystkim, a zwłaszcza tym, którzy są jednej wiary z nami.

**Psalm responsoryjny (92, 2—16)**

**Refren: Dobrze jest śpiewać Tobie, Panie, Boże**

1. Dobrze jest dziękować Panu;  
i śpiewać Twemu Imieniu, o Najwyższy.
2. Z rana głosić Twą łaskawość;  
a wierność Twoją nocami.

**Refren: Dobrze jest śpiewać Tobie, Panie, Boże**

3. Sprawiedliwy zakwitnie jak palma;  
rozrośnie się jak cedry na Libanie.
4. Aby świadczyć, że Pan jest sprawiedliwy;  
On opoką moją i nie ma w Nim nieprawości.

**Refren: Dobrze jest śpiewać Tobie, Panie, Boże**

5. Chwała Ojcu i Synowi  
i Duchowi Świętemu.
6. Jak było na początku, teraz i zawsze;  
i na wieki wieków. Amen.

**Refren: Dobrze jest śpiewać Tobie, Panie, Boże**  
**Ewangelia według św. Łukasza (7, 11—16)**

Onego czasu: Jezus szedł do miasta, które zowią Naim, a z nim szli uczniowie Jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył do bramy miejskiej, oto wynoszono umarłego, jedynaka matki jego, a ta była wdową, i liczna rzesza miejska szła za nią. A gdy ją ujrzał Pan, ulitował się nad nią i rzekł jej: Nie płacz. I przystąpił i dotknął się mar (a ci, co nieśli, stanęli). I rzekł: Młodzieńcze, tobie mówię, wstań! I usiadł zmarły, i począł mówić, i oddał go matce jego.

A wszystkich zdjął strach i wielbili Boga, mówiąc: Prorok wielki powstał wśród nas, a Bóg nawiedził lud swój.

# „Oto wynoszono zmarłego...”

W dotychczasowe niedziele po Zielonych Świętach spoglądaliśmy wstecz na uroczystość wielkanocną, a następnie zastanawialiśmy się nad chwilą obecną. W pierwszym wypadku odnawialiśmy wspomnienia Chrztu świętego, a w drugim uczylimy się walczyć ze złem. Były to dwa przedmioty dotychczasowych rozważań niedzielnych: z jednej strony uzdrowienia — będące obrazem odnowienia jakie dokonało się w nas przez Chrztę, z drugiej zaś strony dwa królestwa — królestwo Boże i królestwo tego świata.

Od niedzieli dzisiejszej zwraca Kościół naszą uwagę ku przyszłości, ku powtórnemu przyjsciu Pana. Wkraczymy bowiem w ostatni okres roku kościelnego, stanowiący przygotowania do powrotu Chrystusa na świat. Wprowadzaniem do tego okresu jest ewangelia o wskrzeszeniu młodzieńca z Naim (Łk 7,11—16). W oparciu o zawarte w niej prawdy zastanawiamy się dzisiaj nad tym, co w śmierci jest groźne, a co w niej uważać należy za pociechę.

XXX

Wydarzenie, o którym mowa w dzisiejszej perykopie ewangelicznej miało miejsce w początkach publicznej działalności Chrystusa. Wędrował On wówczas przez miasta i wioski galilejskie, nauczając i czyniąc liczne cuda. Po uzdrowieniu sługi setnika z Kafarnaum, „udał się (Jezus) do miasta zwanego Naim, i szli z nim uczniowie jego i mnóstwo ludu” (Łk 7,11). Można sobie wyobrazić taką małą karawanę. Przodem szedł Zbawiciel w otoczeniu apostołów i uczniów. Następnie postępowały zapewne pobożne niewiasty: Maryja, matka Jezusowa, Maria Magdalena i inne towarzyszące mu kobiety. Wresz-

cie gromada ludu, ciągnącego z daleka i z bliska, by słuchać Jego nauki i oglądać Jego cuda.

„A gdy się przybliżył do bram miasta, oto wynoszono zmarłego, jedynego syna matki, która była wdową” (Łk 7,12a). Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Przechodząc bowiem przez miasta i wioski ziemni żydowskiej, można było spotkać wiele podobnych orszaków. Uzupełniając swoją relację, Ewangelista dodaje: „A wiele ludzi z tego miasta było z nią” (Łk 7,12b), okazując jej w ten sposób swoje współczucie. Również Syn Boży, który zawsze litował się nad ludzkim cierpieniem, nie przeszedł obok doświadczonej matki obojętnie. Bowiem „gdy ją... zobaczył, uzalił się nad nią i rzekł: Nie płacz! I podszedłszy dotknął się nosy, a ci, którzy je nieśli, stanęli” (Łk 7,13—14a), jakby w oczekiwaniu na coś niezwykłego. Następnie zwracając się do zmarłego, „rzekł: Młodzieńcze, tobie mówię: Wstań!” (Łk 7,14b). I natychmiast „podniósł się zmarły, i zaczął mówić. I oddał go jego matce” (Łk 7,15). Dał przez to Chrystus dowód, że jako Bóg, jest Panem życia i śmierci.

XXX

Śmierć jest groźna dlatego, że jest powszechna. Wszystko co żyje, musi kiedyś umrzeć. Ludzie wszystko potrafią podać w wątpliwość i wszystkiemu zaprzeczyc. Jednak na prawdę stwierdzającą, że „postanowione jest ludziom raz umrzeć” (Hbr 9,27), nikt jeszcze się nie targnął. Potrafią bowiem ludzie zadawać śmierć, ale sami nie mogą od niej uchronić. W niezliczonych zakładach na świecie wyrabia się środki umożliwiające zabijanie wielkiej liczby ludzi na raz, nigdy jednak nie powstanie fabryka produkująca środki, które uchroniłyby człowieka przed śmiercią. Jest to prawda tak dobrze znana, że aż banalna. Jednak ludzie oswoili się ze śmiercią. Dlatego — patrząc na nią codziennie — nie lubią o niej myśleć, nie chcą pamiętać, że czeka ona każdego. To nieodwołalne postanowienie Boże dotyczy również każdego z nas. My jednak często wolimy żyć w złudzeniu, nie zwracając uwagi na czas, który biegnie ustawicznie naprzód. A choćby lata nasze były jak najdłuższe, przeminają jak chwila i rozwijają się jak dym.

Grożą śmierci powiększa jeszcze fakt, że nie wiadomy jest dzień i godzina. Ze wszystkich rzeczy jest ona najbardziej niepewna. Przykładem tego jest dzisiejsza ewangelia, ukazująca nam młodzieńca na marach. A przecież każdego roku schodzi z tego świata wiele osób, których śmierć najmniej się spodziewamy. Bowiem ani młody wiek, ani dobre zdrowie, ani stanowisko nie są w stanie ustrzec przed śmiercią. Zdarza się niekiedy, że nadmiar szczęścia staje się przyczyną nagłego zgonu. Tak było w Wilnie w 1925 r., gdzie Stanisław Morawski otrzymał wiadomość, że jego ostatni wynalazek został bardzo korzystnie sprzedany. Wiadomość ta tak podziałała na wyczerpanego pracą inżyniera — wynalazcę, że w kilka dni później zmarł na zapalenie opon mózgowych.

Kto nas zapewnił, że coś podobnego nam się nie zdarzy? Może właśnie wówczas, gdy będziemy u szczytu sławy, gdy tworzą przed nami wspaniałe widoki na przyszłość, nagle i niespodziewana śmierć wymierzy nam swój zdradziecki cios. Jakże więc głęboko winniśmy sobie wziąć do serca napomnienie Zbawiciela, zawarte w słowach: „Dlatego i wy bądźcie gotowi, gdyż Syn Człowieczy przyjdzie o godzinie, której się nie domyślacie” (Mt 24,44), by wezwać nas na swój sąd.

Ale śmierć ma też drugą stronę, jasną i pocieszającą — tak doczesną, jak i wieczną. Dla wielu ludzi śmierć może być upragniona, gdyż uwalnia ich od krzyżów i dolegliwości życiowych. Nie darmo niektórzy ją wzywają, lub nawet sami ją sobie zadają. Są bowiem na świecie rzeczy gorsze od śmierci. Są nimi ciężkie, nieuleczalne choroby, utrata dobrej sławy, różnego rodzaju nieszczęścia i dolegliwości. Dlatego gdy serce trapi nieznosny ból, gdy życie straciło wszelki urok, śmierć wydaje się wybawieniem. W wielkim cierpieniu myśl o rychłej śmierci stać się może prawdziwą pociechą. Pociechą tym większą, że według zapewnienia Apostoła „utrapienia terażniejszego czasu nic nie znaczą w porównaniu z chwałą, która ma się nam objawić” (Rz 8,18).

Bez porównania większą wartość mają pociechy nadprzyrodzone. Śmierć bowiem kończy życie doczesne, a rozpoczyna życie wieczne. Tutaj, na ziemi, żyjemy z dala od domu Ojca. Jednak w chwili śmierci staje przed nami Chrystus i obdarza nas szczęściem wiecznym. Wówczas usłyszymy jego wszechmocne słowo: „Tobie mówię: Wstań! Wstań i oblecz się chwałą nieśmiertelności!”. Bowiem dla chrześcijanina, który szedł przez życie drogą wskazaną przez Syna Bożego, śmierć jest odzwiercieniem nieba.

Inną pociechą człowieka wierzącego jest nadzieja, że po śmierci połączy się na zawsze z tymi, których za życia gorąco kochał. Miłość bowiem nigdy się nie kończy, gdyż jest silniejsza niż śmierć. Oplakujemy często naszych zmarłych, lecz ból nasz łagodzi przekonanie, że w niebie spotkamy się z nimi. Mamy bowiem świadomość — utwierdzoną słowami Mędrca Pańskiego — że „dusze sprawiedliwych są w rękę Boga i nie dosięgnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, ... a oni trwają w pokoju” (Mdr 2,2-3). Chodzi tylko o to, byśmy sami tego pokoju dostąpili.

\* \* \*

Po tym co powiedzieliśmy dochodzimy do wniosku, że powinniśmy ustawicznie pamiętać o śmierci, jako rzeczy nieuchronnej i niezmiernie ważnej. Będzie to najlepsze zabezpieczenie przed grzechem. Zwraca na to uwagę Mędrzec Pański, mówiąc: „We wszystkich sprawach twoich pamiętaj na ostatnie rzeczy twoje, a na wieki nie zgrzeszysz”. A cała groza śmierci ma swoje źródło w grzechu.

Wówczas pamiętać o czekającej nas śmierci nie będzie dla nas przykrym. Pozwoli nam bowiem usłyszeć z ust Boga zapewnienie: „Przyjdę rychło; trzymaj, co masz, aby nikt nie wziął korony twojej” (Ap 3,11).

Ks. JAN KUCZEK



# O SAKRAMENCIE POKUTY

W artykule ks. doc. Edwarda Balakiera pt. „Specyfika teologii Kościoła Polskokatolickiego”, wydrukowanym w Kalendarzu Katolickim 1982 r., czytamy na temat sakramentu Pokuty: „W Kościele Polskokatolickim są dozwolone dwie formy spowiedzi sakramentalnej: 1) spowiedź uszna dla dzieci i młodzieży; spowiedź uszna dla starszych osób, które pragną zasięgnąć u duszpasterza porady duchowej lub popełnili bardzo ciężkie przestępstwa, które nie mogą być przebaczone, zanim krzywda nie zostanie wyrównana; 2) spowiedź powszechna, zwana także spowiedzią ogólną, do której przystępują starsi ludzie, aby uzyskać duchową kąpiel ze swych codziennych uchybień mających źródło w słabości ludzkiej. Spowiedź ta odbywa się przed kapłanami i społecznością wiernych, ale z grzechów rozlicza się każdy penitent tylko przed Bogiem samym, nie wyliczając ich głośno. Rozgrzeszenie kapłańskie, tak w spowiedzi usznej jak w spowiedzi ogólnej, jest formą sakramentu, a wraz z aktami penitenta tworzy zewnętrzny znak, czyli obrzęd sakramentu pokuty...”

A więc w Kościele Polskokatolickim istnieją dwie formy spowiedzi: uszna i powszechna. Obie formy są ważne i dają możliwość pojednania się człowieka z Bogiem. Nastąpi ono, jeżeli jest szczerzy żal zawierający w sobie postanowienie poprawy, szczerą spowiedź i zadośćuczynienie Bogu i bliźnim.

W roku 1981 ukazała się nakładem Księgarni św. Jacka w Katowicach księga liturgiczna Kościoła Rzymskokatolickiego „Obrzędy pokuty dostosowane do zwyczajów diecezji polskich”. Zawiera ona cztery rozdziały:

- I. Obrzęd pojednania jednego penitenta.
- II. Obrzęd pojednania wielu penitentów z indywidualną spowiedzią i rozgrzeszeniem.
- III. Obrzęd pojednania wielu penitentów z ogólną spowiedzią i rozgrzeszeniem.
- IV. Różne teksty używane w obrzędzie pojednania.

Zwróćmy uwagę na rozdział III. W punkcie 31 czytamy: „Indywidualna i całkowita spowiedź oraz rozgrzeszenie pozostają jedynym zwykłym sposobem, w jaki wierni mogą się pojednać z Bogiem i Kościołem, chyba że nie- nożność fizyczna albo moralna uwalnia ich od takiej spowiedzi.

Ze względu na szczególne okoliczności niekiedy zachodzące może się zdarzyć, że wolno albo nawet należy wielu penitentom udzielić rozgrzeszenia ogólnego bez poprzedniej spowiedzi indywidualnej.

Okoliczności, które usprawiedliwiają rozgrzeszenie ogólne, są następujące:

- niebezpieczeństwo śmierci,
- brak spowiedników („...penitenci — bez własnej winy — byliby zmuszeni długo pozostawać bez łaski sakramentalnej lub Komunii św.”).

Pozwolenie na ogólne rozgrzeszenie udziela każdorazowo biskup ordynariusz diecezji. Przystąpienie wiernych do spowiedzi ogólnej i uzyskanie rozgrzeszenia ogólnego jednak nie wystarcza. W punkcie bowiem 34 czytamy: „Ci, którzy uzyskali odpuszczenie grzechów ciężkich przez rozgrzeszenie ogólne, są zobowiązani do odbycia usznej spowiedzi z tych grzechów przed otrzymaniem nowego rozgrzeszenia ogólnego, o ile nie mają słusznej przyczyny. Są oni ściśle zobowiązani do przystąpienia do spowiedzi w ciągu roku, chyba że zaistnieje moralna niemożliwość.”

Samo rozgrzeszenie, podczas którego kapłan trzyma ręce wyciągnięte nad wiernymi, zawiera następującą formułę:

„Bóg Ojciec, który nie chce śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył, i który pierwszy nas umiłował i zesłał Syna swego na świat, aby świat był przez Niego zbawiony, niech wam okaże swoje miłosierdzie i udzieli pokoju.

Wierni: Amen.

Pan nasz, Jezus Chrystus, który został wydany za nasze grzechy i zmartwychwstał dla naszego zbawienia, i który zesłał Ducha Świętego na swoich apostołów, aby otrzymali władzę odpuszczania grzechów, niech przez naszą posługę uwolni was od złego i napełni Duchem Świętym.

Wierni: Amen.

Duch pocieszyciel, dany nam na odpuszczenie grzechów, w którym mamy dostęp do Ojca, niech oczyści wasze serca i oświeci swym blaskiem, abyście głosili dzieła potęgi Jego, który Was powołał z ciemności do swego przedziwnego światła.

Wierni: Amen.

I JA ODPUSZCZAM WAM GRZECHY W IMIĘ OJCA I SYNA, I DUCHA ŚWIĘTEGO.

Wierni: Amen.”

Inna formuła rozgrzeszenia jest następująca:

„Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego syna, i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech wam udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła.

I JA ODPUSZCZAM WAM GRZECHY W IMIĘ OJCA I SYNA, + I DUCHA ŚWIĘTEGO.

Wierni: Amen.”

W tym miejscu należy przytoczyć tekst rozgrzeszenia udzielanego w Kościele Polskokatolickim. Zamieszczony jest on w rytuale wydanym w 1961 roku. Po odpowiednich wstępnych modlitwach, przeprowadzeniu wspólnie rachunku sumienia, wzbudzeniu żalu za grzechy i postanowieniu poprawy, wszyscy odmawiają spowiedź powszechną. Następnie kapłan udziela rozgrzeszenia trzymając rękę nad wiernymi:

„Pan nasz, Jezus Chrystus, niech was rozgrzeszy i ja mocą mi przez niego daną **rozzgrzeszam was z wszystkich grzechów waszych w imię Ojca i Syna, + i Ducha Świętego. Amen.**”

Podkreślone słowa ukazują tożsamość w formule rozgrzeszenia Kościoła Rzymskokatolickiego i Polskokatolickiego. Różnicą istotną jest, że w Kościele Polskokatolickim po rozgrzeszeniu ogólnym nie potrzeba przystępować jeszcze raz do spowiedzi usznej. W Kościele Rzymskokatolickim obowiązek taki istnieje.

Podsumowanie:

## I. Podobieństwa:

- oba Kościoły uznają spowiedź uszną i ogólną;
- warunki potrzebne do ważności spowiedzi: żal za grzechy, zawierający w sobie postanowienie poprawy, szczerą spowiedź, zadośćuczynienie
- formuła rozgrzeszenia.

## II. Różnice:

- W Kościele Polskokatolickim obie formy uważane są za jednakowo wystarczające;
- w Kościele Rzymskokatolickim przystępujący do spowiedzi ogólnej musi wyznać grzechy swoje ponownie w spowiedzi indywidualnej, i to „w ciągu roku, chyba że istnieje moralna niemożliwość”.

ks. B. W.



## Kolonie letnie Kościoła Polskokatolickiego w Studziankach Pancernych



2

Zdjęcie 1. — Dzieci składają kwiaty pod Pomnikiem w Studziankach Pancernych.

Zdjęcia 2, 3, 4 — Biskup i książe wśród dzieci przebywających na koloniach letnich „pod namiotami”

3



4

Staraniem Rady Synodalnej Kościoła Polskokatolickiego i dzięki pomocy charytatywnej otrzymanej za pośrednictwem Polskiej Rady Ekumenicznej dla dzieci i młodzieży szkolnej, zostały zorganizowane w miesiącu lipcu br. kolonie letnie. Były to kolonie letnie pod namiotami. Pierwszy turnus trwał od 1 do 15 lipca. Uczestniczyło w nim 35 dzieci z parafii polskokatolickich z Warszawy, Radomia i Skarżyska-Kamiennej. Drugi turnus trwał od 17 do 31 lipca. Na tym turnusie przebywała podobna ilość dzieci i to nie tylko z Warszawy czy Radomia, ale także z Oleśnicy, Kielc, Sieradza i Legnicy. Opieką kolonijną objęto ponadto kilkadziesiąt dzieci miejscowych parafian ze Studzianek Pancernych.

Dzień kolonijny rozpoczynał się i kończył modlitwą. Po śniadaniu dzieci brały udział w różnych zajęciach, grach, spacerach po lesie, gdzie zbierały grzyby i jagody. Zażywały też kąpeli wodnej. Były także ogniska, dyskoteki, konkursy i zawody. A pogoda była wyśmienita.

Program należnego przecież dzieciom odpoczynku był tak pomyślany przez organizatorów, aby potrzeby ciała i ducha były równomiernie zaspokojone. Były to przecież kolonie zorganizowane przez Kościół. Stąd np. w niedzielę wszystkie dzieci uczestniczyły we Mszy Świętej, w której brały czynny udział. Jedni byli lektorami, inni należeli do scholi, inni przynosili na ołtarz dary ofiarne. Dzieci i młodzież z pierwszego turnusu uczestniczyły też w jednodniowej wycieczce turystyczno-krajoznawczej, dzięki której zwiedzono Dęblin i lotnisko wojskowe, Czarolas, Kazimierz Dolny i Puławy.

Pod koniec pierwszego turnusu do Studzianek Pancernych przybył Biskup Naczelny Kościoła Polskokatolickiego Tadeusz Majewski. Wraz z Biskupem do Studzianek przybył także prezes Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików ks. dr Wiktor Wysoczański, a także ks. doc. dr Edward Bałakier i ks. dziekan mgr Tomasz Wójtowicz. Była także ekipa telewizyjna. Dzieci witały gości nie tylko swoim kolonijnym hymnem, ale także śpiewem różnych piosenek i swoim, pełnym zadowolenia, uśmiechem.

Akcja kolonijna, rozpoczęta w tym roku przez nasz Kościół, objęła kilkadziesiąt dzieci pochodzących z różnych miast i środowisk. W przygotowanie tych kolonii zaangażowana była spora grupa osób, tak duchownych, jak i świeckich. Wszystkim należą się serdeczne podziękowania za wysiłek i trud, a szczególnie proboszczowi w Studziankach Pancernych i tamtejszym parafianom oraz ks. Grzegorzowi Krajewskiemu za trud prowadzenia kolonii. Może nie wszystko się udało tak, jak to było zaplanowane. Ale były to pierwsze kolonie, pierwsze doświadczenia. Temat kolonii będzie jeszcze niejednokrotnie przedmiotem dyskusji i rozważań po to, aby w przyszłości było jeszcze lepiej i aby akcją kolonijną objąć więcej dzieci. Może akcja kolonijna pod hasłem „Wszystkie dzieci są nasze” będzie kontynuowana gdzieś nad morzem, a może także w górach lub na Mazurach?

Dzieci wrócili z kolonii zadowolone i wypoczęte. Poznały się nawzajem, nawiązały kontakty między sobą. Żałowały tylko jednego, a mianowicie tego, że dwa tygodnie na koloniach w Studziankach Pancernych upłynęły bardzo szybko. Szkoda.

Zadowoleni byli także rodzice, bo ich pociechy mogły odpocząć w takich warunkach, na jakie Kościół nasz było aktualnie stać. Do Kurii Biskupiej, do parafii katedralnej w Warszawie, z której była najliczniejsza grupa



dzieci, a także do innych parafii, z których były dzieci, napływają listy od rodziców z wyrazami podziękowania. Warto by je umieścić na łamach Rodziny. Dla przykładu przytoczę tylko jeden list i to w całości, bez żadnego komentarza.

Niżej zacytowany list napisała jedna z matek z Warszawy do Księdza Biskupa Tadeusza Majewskiego. „Ekscelencjo, Księżu Biskupie! Niniejszym pragnę gorąco podziękować razem z mężem i z moimi córkami — Bożeną i Renatą — za pobyt na kolonii w Studziankach Pancernych. Córki są zadowolone, wróciły wypoczęte, uśmiechnięte,

rozśpiewane, pełne wspomnień. Opieka na kolonii była bardzo dobra. Atmosfera, którą stworzyli księża — ks. Rybka i ks. Krajewski — była niezwykle rodzinna, miła, bez troska. Pragnę także nadmienić, iż wyżywienie na kolonii, co jest godne podkreślenia, było dobre, urozmaicone i pod dostatkiem dla każdego. Dzieci dostawały dużo owoców, warzyw, nabiału; pod dostatkiem miały wędlin, masła, pieczywa. W ciągu turnusu odwiedzałam dzieci dwukrotnie i w tym czasie przebywałam tam całe dni. Byłam również częstowana dobrym obiadem, podwieczorkiem i kolacją. Jestem godna podzi-

wu dla Pań Kucharek, które potrafiły dzieciom zrobić wspaniałe dania obiadowe, piekły im ciasta i różne placuszki na podwieczorek, robiły sery i twarogi, kupowały świeże owoce. W wyniku tego dzieci moje przybyły na wadze. Są bardzo zadowolone i podpisują się również pod tymi słowami podziękii dla Przewielebnego Księdza Biskupa, dla Księży ze Studzianek, dla Pań Kucharek i dla tych wszystkich, którzy przyczynili się do zorganizowania takich kolonii”.

W tych słowach jest zawarte prawie wszystko o koloniach.

Ks. TW

4



## MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (669)

W opracowaniu bpa M. Rodego

M

*schichte der Menschheit* (1908; czyli *Stanowisko ludów pigmejskich wobec dziejów rozwoju ludzkości*) przeprowadza w oparciu o bogaty materiał empiryczny dowód, że ludy pigmejskie są z etnograficznie dostępnych najstarszymi plemionami i ludami oraz że u nich powszechnie panuje monogamia. Hawajczycy zaś, na których obyczaje powołuje się Morgan, należą już do kultury wyższej, nie mogą być uważani za najstarsze znane ludy pierwotne.

Dzisiaj na ogół etnologowie niemarksistowsy, jak również ogół socjologów, oczywiście również ogół teologów, przyjmują za pierwotną formę ustrojową rodziny ludzkiej małżeństwo monogamiczne, tzw. zaś bezład płciowy, małżeństwa grupowe, a również poligynia lub też poliandria — są zjawiskami i faktami późniejszymi. Wymienić tu można wśród wielu uczonych R. Thurnwalda, autora książki pt. *Die menschliche Gesellschaft in ihren ethnologischen Grundlagen* (czyli po polsku: *Spółczesność ludzkie w swoich etnosocjologicznych podstawach*), oraz polskiego współczesnego socjologa, prof. dr. Tadeusza Szczurkiewicza. Prof. Szczurkiewicz w swojej książce pt. *Rasa, środowisko, rodzina* (Ponzań 1938), na której wydatnie się opieramy, takie wypowiedział odnośnie do naszego tematu twierdzenie: „Faktyczny związek chronologiczny, zachodzący między monogamią o poligamicznymi formami małżeństwa, jest więc dosłownie odwrotny od tego związku, który postulował ewolucjonizm w swoim schemacie rozwojowym. Nie monogamia jest zjawiskiem następczym 'poligamii, ale na odwrót: poligamia jest zjawiskiem wyrastającym zresztą na podłożu szczególnych konstelacji warunków społeczno-gospodarczych, charakterystycznych dla pewnych tylko i to późniejszych faz rozwojowych życia społecznego. I wtedy jednak, przynajmniej poligynia, nie jest w żadnym społeczeństwie ludzkim formą jedyną i powszechną, występującą w warstwie czy klasie wyższej danego społeczeństwa; reszta

tego społeczeństwa, rekrutująca się z warstw niższych, ilościowo znacznie większa, jest zawsze i wszędzie monogamiczna” (s. 145).

Pierwotna zatem rodzina ludzka opiera się nie o poligynię, poliandrię, czy bezład płciowy, jej podstawą organizacyjną i rozwojową był związek jednego mężczyzny z jedną niewiastą, czyli monogamią, a pierwszą parą ludzką monogamicznie żyjącą, co jest jedynie zgodne ze światopoglądem chrześcijańskim, byli nasi pierwsi rodzice: Adam i Ewa. Dopiero po popełnieniu przez nich — grzechu pierworodnego do dziejów ludzkich, do dziejów ludzi, którzy poczęli oddać się do jednego i jedynie prawdziwie istniejącego Boga i zatracić — monoteizm a wytwarzać przeróżnego rodzaju formy — politeizmu, również i obok monogamii poczęły występować różnego rodzaju formy — poligamii, nigdy jednak nie było tzw. bezładu płciowego, czy życia w hordach na wzór niektórych rodzajów i gatunków zwierząt.

**Monogenizm** — (gr. monos = jeden, jedyny; genos = ród, pochodzenie) — to sformalizowane w jednym terminie przekonanie, czy ujęta opinia, hipoteza, według chrześcijańskiej nauki: teologii i filozofii — teza, więc prawda, że ludzkość cała wywodzi się z jednej pary ludzi, którą byli pierwsi nasi rodzice: Adam i Ewa. Przeciwnicy monogenizmu (→ poligenizm) dowodzą, iż ludzkość wywodzi się z wielu par ludzi, żyjących dawno temu w różnych stronach i na różnych terenach Ziemi.

**Monopsychizm** — (gr. monos = jeden, jedyny; psychē = dusza) — to nazwa poglądu filozoficznego, którego autorzy i propagatorzy dowodzą, iż we wszechświecie, czy w świecie, istnieje i działa tylko jedna dusza, natomiast tzw. dusze indywidualne, czyli również dusza poszczególnego człowieka, albo dusze jednostkowe, są jedynie jakby jej





## Poezja religijna

### NIEDZIELA

Droga wiedząca do lasu  
ciągnęła się wśród pól,  
jak smuga minionego czasu,  
oświetlona słońcem spoza gór.

Zapach skoszonej trawy  
uderza mocną wonią,  
gdzieniegdzie migoczą stawy,  
fosforyzują swoją tonią.

Idę pomiędzy zbożami,  
leciutko głaszczę kłosa.  
Motyl z barwnymi skrzydłami  
przeleciał, muskając mi włosy.

Droga ubita, choć piaszczysta,  
wznosi się ciągle w górę.  
Ściana lasu wydaje się już bliska,  
stając przede mną zwartym murem.

Powietrze faluje gorącem,  
na tworzy ciepła ślad.  
Słońce — wysoko, palące,  
zastygło w bezruchu u Tatr.

Z oddali, gdzieś słychać dzwony,  
miarowy ich, dźwięczny śpiew;  
las cały odbija tony  
uderzeń — to echa odzew.

Różne prychanie koni,  
odświętne ubiory lśnią,  
bryczka mnie jakaś goni,  
a za nią ludzie idą...

Dzwon dzwoni donośnie,  
zawodzi melodią swą —  
serce mu bije radośnie  
metaliczną, czystą grą.

W niedzielne południe za lasem,  
przywita świątynia nas,  
organy brzmieć będą basem,  
w skupieniu upiśnie czas.

MALGORZATA KAPIŃSKA

## MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (670)

cząsteczkami, ściślej — jej indywidualnie ujętymi działaniami, indywidualnymi sposobami jej działania.

**Monoteizm** — (gr. monos = jeden, jedyny; theos = Bóg) — to termin pochodzenia greckiego, który można w j. polskim przetłumaczyć jako jedno- czy jedynobóstwo, czyli jest to pogląd przyjmujący istnienie tylko jednego Boga. Terminem przeciwstawnym jest → politeizm, czyli pogląd przyjmujący istnienie wielu bogów, czy wielu bóstw. Trzeba tu też wskazać jeszcze: na termin — teizm, czyli pogląd przyjmujący istnienie Boga Osobowego jako Stwórcy, Zachowawcy, Opiekuna świata i Jego Rządcy, który to pogląd przyjmuje i głosi chrześcijaństwo; na termin — deizm, czyli pogląd przyjmujący istnienie Boga, który stworzył świat, ale po akcie stworzenia już nie wpływa na jakość jego rozwoju (zwie się ten — deizm też monoteizmem naturalistycznym; jego łagodniejszą formę stanowi semideizm); na termin — ateizm, czy pogląd głoszący, iż Bóg w ogóle nie istnieje; oraz na termin — panteizm, czyli pogląd przyjmujący wprawdzie istnienie Boga ale nie jako Osoby i Transcendencji, lecz jako uosobienie Go ze światem, czy ze wszechświatem (wszystko jest bogiem, bóg jest wszystkim). Monoteizm chrześcijański, wyrosły z monoteizmu judaistycznego, zwany też monoteizmem nadprzyrodzonym, nie tylko przyjmuje istnienie Boga Osobowego, Jednego w trzech Osobach, jako Stwórcę i Zachowawcę świata i jego Rządcę, ale głosi też możliwość i fakt Jego objawiania się ludziom i kontaktowania się z ludzkością (→ Objawienie; → Biblia). Filozofia i teologia chrześcijańska, katolicka, uczy nadto, że monoteizm jest pierwotną formą — religii, — politeizm, czyli wielobóstwo, jest zjawiskiem późniejszym.

**Monoteletyzm** — (gr. monos = jedno, jedyny; thelo = chęć, pragnę) — to pogląd teologiczny, ze stanowiska chrześ-

cjaństwa soborowego, ortodoksyjnego, to herezja, głosząca, iż w Jezusie Chrystusie istnieją wprawdzie dwie natury (→ monofizytyzm = jedna natura; więc monoteletyzm przeciwstawia się monofizytomowi), ale tylko jedna zasada działania, czyli jedna wola, wola boska. Pogląd ten ujął wypowiedział i bronił go patriarcha konstantynopoliński, → Sergiusz. Monoteletyzm wywołał w Kościele wiele kontrowersji i usiłowań znalezienia w tych sporach Chrystologicznych kompromisowych rozwiązań. Dopiero sobór w Konstantynopolu, w 680 roku, zdecydował, że w Jezusie Chrystusie należy przyjmować istnienie i działanie nie tylko dwóch natur: boskiej i ludzkiej, ale również woli zarówno boskiej, jak i ludzkiej, działanie bowiem i wola nie są funkcjami osoby, lecz natury, w tym przypadku — dwóch natur. Pogląd ten, pogląd prawowierny, nosi też nazwę dioteletyzmu. Współcześnie w dużej mierze monoteletyzm wyznaje jeszcze Kościół Maronicki (→ maronici), ale jest on w unii z Kościołem Rzymskokatolickim.

**Monsabré** Jakub Maria Ludwik — (ur. 1827, zm. 1907) — to francuski dominikanin, ks., ceniony w swoim czasie kaznodzieja i autor wielu kazań i konferencji. Wydał m.in. przede wszystkim: *Conférences du Carême de S. Thomas d'Aquin* (1866; 2 tomy), czyli *Konferencje Wielkopostne według św. Tomasza z Akwinu*; *La Prière. Philosophie et théologie* (1906), czyli *Filozofia i teologia modlitwy*; *La Prière. Le Pater* (1908), czyli *Modlitwa boska. Ojciec nasz*. **Monschein** Józef — (ur. 1713, zm. 1769) — to niemiecki jezuita, ks. teolog i filozof. Jest autorem dzieła pt. *Theologia dogmatico-speculativa*. (1763), czyli *Teologia dogmatyczno-spekulatywna* (filozoficzna).

**Monstrancja** — (łac. monstro = pokazuję) — to w liturgii katolickiej naczynie czy przyrząd, w którym od XIII w., kiedy ustanowiono publiczne procesje eucharystyczne w związ-



W dniu 14 września obchodzimy święto Podwyższenia Krzyża, ustanowione na pamiątkę odnalezienia (prawdopodobnie 14 września 326 r.) drzewa Krzyża św. przez matkę cesarza Konstantyna, Helenę. Również 14 września (335 r.) rozpoczęto sprawowanie liturgii w kościele, który Konstantyn wybudował w miejscu, gdzie Chrystus był umęczony. Na pamiątkę tych dwu faktów, najpierw w Jerozolimie, a później w całym Kościele, obchodzono uroczyste święto, nazwane świętem Podwyższenia Krzyża.

Tematykę Krzyża poruszał w pracy pt. „Środowisko Boże” o. Pierre Teilhard de Chardin. Publikowany przez nas fragment tych rozważań, oby stał się dla nas źródłem pogłębionych refleksji nad znaczeniem Krzyża w życiu chrześcijanina.

„(...) Nauka płynąca z Krzyża w jej najogólniejszym znaczeniu jest nauką, którą może przyjąć każdy człowiek przeświadczony o tym, że przed ludzkością szamoczącą się w beźmiernym niepokoju otwiera się droga wiodąca do jakiegoś rozwiązania i że droga ta prowadzi coraz wyżej. Życie ma jakiś cel, a więc narzuca kierunek ruchu, który w istocie zmierza ku coraz większemu uduchowieniu, zdobywanemu coraz większym wysiłkiem. Przyjąć zespół tych podstawowych zasad — to już znaleźć się w szeregu uczniów Jezusa Ukrzyżowanego, może dalekich i uwikłanych w sprzecznościach, lecz prawdziwych. Począwszy od owej podstawowej wyboru, dokonuje się pierwszy podział na śmiałków, którzy osiągną szczęście, i na życiowych spekulantów, którzy doznają porażki; na wybranych i potępionych.

Tę najogólniejszą zasadę chrystianizm wzbogaca pewnymi wyjaśnieniami i konkluzjami. Przede wszystkim dzięki nauce o grzechu pierwotnym wskazuje naszemu umysłowi przyczynę nadmiernego, niezrozumiałego rozprzestrzeniania się zła — grzechu i cierpienia. Następnie odkrywa przed naszymi oczami i sercem — w celu zaskarżenia sobie miłości i umocnienia wiary — porwijącą i niezgłębioną rzeczywistość Chrystusa historycznego, w której wzorowe życie jednostki kryje w sobie tajemniczy dramat: Pan Świata jako jeden z elementów świata prowadzi nie tylko zwykłe jednostkowe życie, lecz (ponad nim i przez nie) całe życie wszechświata, który ma wziąć na swoje barki i przyjąć do siebie, sam poddając się próbie. Wreszcie przez śmierć na krzyżu tej Najwyższej Istoty wskazuje nam — w odpowiedzi na żywione przez nas pragnienie szczęścia — że celu stworzenia nie należy szukać w doczesnych sferach naszego widzialnego świata, lecz że trud dochowania wierności zostanie nagrodzony po całkowitej metamorfozie nas samych i wszystko, co nas otacza.

W ten sposób stopniowo rozszerzają się perspektywy wyrzeczenia zawarte w próbie życia. I w końcu odrywamy się zupełnie od dóbr tego świata, tak jak tego chce Ewangelia. Lecz to wykorzenienie nas dokonuje się powoli, w toku procesu, który nie przekreśla ani nie umniejsza czci, jaką powinniśmy zachować dla wspaniałego piękna ludzkiej pracy.

To niewątpliwie prawda, że Krzyż oznacza ucieczkę poza świat widzialnej rzeczywistości, a nawet w pewnym sensie zerwanie z tym światem. Wzywając nas do wstępowania coraz wyżej ku ostatecznym celom, zmusza nas istotnie do przekroczenia pewnego progu, pewnego punktu krytycznego, na skutek czego tracimy grunt pod nogami w sferze rzeczywistości podpadającej pod zmysły. To ostateczne osiągnięcie, przewidywane i przyjęte z chwilą postawienia pierwszych kroków, rzuca z konieczności szczególne światło, owiewa szczególnym duchem całe nasze postępowanie. I na tym właśnie polega szaleństwo chrześcijaństwa z punktu widzenia „mędrców”, którzy nie chcą ryzykować dla jakiegoś „innego świata” żadnego z konkretnie posiadanych dóbr. Lecz ta boles-



## Znaczenie Krzyża

na ucieczka poza sferę widzialne świata, której wyobrażenie stanowi Krzyż, nie jest niczym innym (należy to podkreślić z całym naciskiem), jak wysublimowaniem prawa wszelkiego życia. Ku niewyraźnie rysującym się przed nami szczytom, do których zdobycia wzywa nas Krzyż, wspinamy się ścieżką będącą jednocześnie drogą postępu powszechnego. Królewska droga Krzyża — to właśnie droga wszelkiego ludzkiego mozołu w nadprzyrodzony sposób oczyszczona i przedłużona. Jeśli chcemy w pełni zrozumieć sens Krzyża, nie możemy już patrzeć na życie jako na smutną i pozbawioną uroku rzeczywistość. Stajemy się tylko bardziej uczuleni na jego niepojętą wagę.

Słowem, Jezus na krzyżu jest jednocześnie symbolem i rzeczywistością niezmiernego odwiecznego mozołu, który powoli wznosi coraz wyżej stworzonego ducha, by go wprowadzić w głębinę Środowiska Bożego. Wyobraża On stworzenie (w prawdziwym znaczeniu jest nim), które — podtrzymywane przez Boga — wznosi się coraz wyżej po szczeblach bytu, bądź zatrzymując się na rzeczach, aby w nich znaleźć punkt oparcia, bądź odrywając się od nich, aby stanąć ponad nimi, i nieustannie kompensując trudami fizycznymi ruch wsteczny spowodowany przez upadek moralny.

A zatem Krzyż nie jest rzeczywistością nieludzką, lecz nadludzką. Zdajemy sobie sprawę od początku istnienia dzisiejszej ludzkości, że został on postawiony na drodze wiodącej na najwyższe szczyty stworzenia. Lecz dopiero w potężniejszym świetle Objawienia dojrzelśmy, że Jego ramiona, pierwotnie nagie, są przyobleczone w Chrystusa. **Crux inuncta.** Na pierwszy rzut oka to krwawiące Ciało zdaje się spowijać mrok. Czyż nie jest prawdą, że promieniuje Ono z głębi nocy? Przystąpmy jeszcze bliżej, a rozpoznamy płomiennego serafina z La Verna, dla którego Męka i litość — to **incendium mentis.** Dla chrześcijanina problem polega nie na unicestwieniu się w cieniu Krzyża, lecz na wznoszeniu się coraz wyżej w Jego blasku.”

## POLSKA Z KRZYŻA

Na krzyżu konam z zwieszoną skronią,  
Z przebitą pierśią, z przebitą dłońią,  
Z skrwawioną koroną cierni;

Szerniałe wzgórza ludzi mrowiskiem  
Męce mej wtórzą urągowskimi —  
A gdzie są, gdzie moi wierni?

A chciwość moje szaty rozdziera,  
I złość ciekawie ku mnie poziera,  
Czy z skargą skona Syn Boży;

Z piolunu do mnie skacze kielichem,  
Śmieje się głośno nieszczerym śmiechem,  
A w duszy jednak się trwoży.

O ludu ziemi! i na was czeka  
Okrutna męka syna człowieka,  
Przyszłość mi wasza odkryta;

Spełnia wyroku chyżo się zbliża,  
Wam błogosławić z mojego krzyża  
Zrywa się ręka przybita.

I was do krzyża także przybijają,  
Skrwawione ręce potem umyją,  
A wy umierać będziecie;

Niechże was srogość mąk nie przestrasza,  
Niech jako moja będzie śmierć wasza,  
Jeżeli zmartwychwstać chcecie.

Zwisa mi głowa, oko się mroczy,  
A wrzask bluźnierczy mętno się toczy,  
Niebo się kryje żałobą,

A głos mój pada nad tłuszczyń ciemną:  
O ludu ziemi! — nie płacz nade mną,  
O! zapłacz lepiej nad sobą!

Kornel Ujejski





# 25 lat pracy Biskupa Prof. Dr. Maksymiliana RODEGO w Kościele Polskokatolickim

W dniu 17 sierpnia br. w Warszawie, pod przewodnictwem Zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego, odbyła się poszerzona sesja Prezydium Rady Synodalnej, poświęcona bieżącym sprawom Kościoła Polskokatolickiego.

W sesji udział wzięli: biskup Maksymilian RODE, biskup Jerzy SZOTMILLER, biskup elekt Wiesław SKOŁUCKI, biskup elekt Zygmunt KORALEWSKI, ks. sekretarz Wiktor WYSOCZAŃSKI, ks. skarbnik Edward BALAKIER, ks. infułat Tadeusz GOTÓWKA, ks. infułat Antoni PIETRZYK, ks. dziekan Edward JAKUBAS i ks. dziekan Tomasz WOJ-TOWICZ.

Po modlitwie, powitaniu i krótkim zagajeniu, biskup Tadeusz R. MAJEWSKI — w imieniu Rady Synodalnej — swoim własnym — złożył życzenia i gratulacje biskupowi Maksymilianowi RODEMU z okazji 25 rocznicy pracy pasterskiej w Kościele Polskokatolickim.

Słowa skierowane do Dostojnego Jubilata oparł Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego na tekście z I Listu św. Pawła Apostoła do Tymoteusza: „Dzięki składam temu, który mnie wzmocnił, Chrystusowi Jezusowi, Panu naszemu, za to, że mnie uznał za godnego zaufania, zleciwszy mi tę służbę” (I Tym 1, 12).

W każdej dobie i w każdym czasie sam Pan Kościoła powołuje sługi swoje i zleca im służbę. W roku 1957 ks. Maksymilian RODE, kapłan Kościoła Rzymskokatolickiego, zajmujący eksponowane stanowisko w Kurii Arcybiskupiej Kościoła Rzymskokatolickiego w Poznaniu, przeszedł do Kościoła Polskokatolickiego, aby w dalszym ciągu wypełniać służbę Bożą, aby głosić Słowo Boże i z innymi budować Wolny, Odrodzony Kościół Jezusa Chrystusa, Kościół Polskokatolicki.

Po 25 latach, jako Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego, składając życzenia Bożego błogosławieństwa, a zarazem podziękując za pracę pasterską w Kościele Polskokatolickim i trud biskupowi Prof. Maksymilianowi RODEMU — chcę powiedzieć, że dobrze się stało, iż przed 25 laty, jako jeden z pierwszych poznałem dzisiejszego Jubilata. Spotkaliśmy się, aby prawdą, pracą i walką iść do wspólnego zwycięstwa Bożej narodowej Sprawy, jaką jest dzieło Boże, któremu na imię Kościół Polskokatolicki.

W podarunku jubileuszowym — przekazuję Czcigodnemu Jubilatowi słowa świętego Apostoła Pawła: „Niech będzie błogosławiony Bóg, Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z wysokości niebios obsypał nas wszelkim błogosławieństwem” (Ef 1, 3).

† Biskup Tadeusz R. Majewski

ok 1960 — Biskup dr Maksymilian RODE w katedrze warszawskiej, przy ul. Szwoleżerów (róg Czerniakowskiej) — udziela Komunii św.



Lotnisko „La Guardia” w Nowym Jorku, 17 maja 1959 r. Pożegnanie przed ważną misją, przed odlotem do Amsterdamu i do Warszawy. Od prawej: żegnający Biskup Tadeusz F. ZIELIŃSKI Ordynariusz Diecezji Buffalo (Nowy Jork); odlatujący do Europy: Pierwszy Biskup dr Leon GROCHOWSKI, ówczesny Wikariusz Generalny Kościoła Polskokatolickiego ks. dr Maksymilian RODE i ówczesny kanclerz Kurii Biskupiej ks. Tadeusz R. MAJEWSKI

Rok 1976 — spotkanie zwierzchnika władz Kościoła Polskokatolickiego z delegacją PNKK ze Stanów Zjednoczonych i z przedstawicielami Polskiej Rady Ekumenicznej



Wspólne modlitwy przy grobie śp. Biskupa Józefa PADEWSKIEGO na Cmentarzu Powązkowskim







Bp Maksymilian RODE był w latach 1959—1965 zwierzchnikiem Kościoła Polskokatolickiego. Dnia 30 października 1965 roku podpisał rezygnację z tego stanowiska i poświęcił się wprawdzie wyłącznie pracy dydaktyczno-naukowej w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, w której był już uprzednio profesorem od 1 grudnia 1957 roku.

Od roku 1975 znowu włączył się w czynną pracę w Kościele. Jest członkiem Rady Synodalnej i Prezydium Rady Synodalnej, przewodniczącym Sądu Kościelnego oraz czynnym członkiem Kolegium Redakcyjnego Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie”, w tym również tygodnika „Rodzina”.



# Niespodzianki archeologii w kraju oliwek



Akropol — Partenon w Atenach

Wydawać by się mogło, że w kraju tak bogatym w znane dotąd zabytki starożytności jakim jest Grecja, nie sposób już odkryć cokolwiek, co mogłoby zaskoczyć miłośników i znawców klasycznego antyku. Tymczasem prowadzone nieustannie na lądzie i w morzu poszukiwania archeologów przynoszą kolejne niespodzianki z najdawniejszej przeszłości kraju oliwek.

A więc przede wszystkim głośna od ub. roku sprawa odkrycia przez amerykańskich archeologów sławnego „stoa poikile” („portyku pstrego”) na terenie ateńskiej agory (ryнку), gdzie prowadzili oni badania od 50 lat. W rezultacie wykopalisk rozpoczętych przed dwoma laty w północnej części agory, ekipa prof. T. L. Sheara triumfalnie ogłosiła odnalezienie ruin portyku znanego dotąd z opisów.

Wzniesiony w 457 r.p.n.e. „stoa poikile” należał do najwspanialszych budowli klasycznych Aten, a nazwa jego pochodzi od licznych obrazów i malowideł zdobiących wnętrze. Były to zapewne freski lub malowane na drewnie dzieła takich mistrzów pedzła jak Polygnot z Thasos, Mikon z Aten czy Pleistainetos, przedstawiające bitwę pod Maratonem, walki Ateńczyków ze Spartanami czy Tezeusza z Amazonkami. Portyk był ulubionym miejscem spotkań Ateńczyków, od którego wzięła też początek i nazwę filozoficzna szkoła stoików Zenona z Kitionu.

Sprawa identyfikacji budowli nie jest jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta, gdyż przeciwnicy twierdzą, że odkryte ruiny równie dobrze mogą być resztkami położonej w sąsiedztwie tzw. „stoi herm” Peisianaksa z I poł. V w.p.n.e. Archeolodzy amerykańscy opierają swe przypuszczenie na cechach szczególnych potężnych fundamentów budowli 30-metrowej długości, na dokładnym datowaniu jej na drugie ćwierćwiecze V w.p.n.e., na rodzaju materiału architektonicznego i usytuowaniu jej pomiędzy dwiema ulicami.

Nie jest jeszcze pewne czy „stoa poikile” zostanie w całości zrekonstruowany tak jak uczyniono to z „portykiem Attalosa”, w którym obecnie mieści się muzeum wykopalisk na agorze.

Prace budowlane na terenie dzielnicy Sindos w Salonikach ujawniły natomiast istnienie na znacznej głębokości rozległego cmentarzyska z końca VI-poł. V w.p.n.e. Być może należało ono do wzmiankowanej przez Herodota osady Chalastra ukrytej zapewne dotąd we wnętrzu pobliskiego wzgórza. Zaskoczeniem był fakt, że wszystkie odnalezione pochówki były szkieletowe, gdy wiadomo, że zasiedlający później to miejsce Macedończycy zwykle palili swych zmarłych. Czy zatem z biegiem czasu nastąpiła zmiana obyczaju pogrzebowego, czy też miejsce to zamieszkiwał wcześniej zupełnie inny lud?

Interesujące jest, że cmentarzysko to służyło zarówno biednym jak i bogatym, czego dowodzą dary znalezione w grobach: ozdoba brzoń, złota biżuteria kobieca itp. Jednym ze znalezisk była kostka do gry z czystego złota, innym — pozłacany dziecienny hełm i mieczyk z brązu odkryte w grobie 9-letniego chłopca. W grobach dziecięcych odnaleziono zabawki antyczne — zwierzęce figurki z terrakoty i gliny w kształcie świnek i gołębi.

Dodatkową zagadką salonickiego cmentarzyska stało się ujawnienie we wszystkich grobach cienkiej warstwy pyłu organicznego barwy purpurowej, pokrywającej szkielety zmarłych. Nie bez racji przypuszczają się, że zwłoki okrywano barwnym całunem pogrzebowym, który w oryginalny sposób mógł zachować się w tej właśnie postaci.

Dopiero przed czterema laty w lokalnym muzeum w Delfach udostępniono publiczności zabytki pochodzące z francuskich wykopalisk w 1939 r. prowadzonych na terenie „świętej wyroczni” Apollina. Główną atrakcją tej ekspozycji stały się trzy dzieła archaicznej plastyki greckiej: wyobrażenie byka z blachy srebrnej oraz dwa naturalnej wielkości posagi z chryzoelefantyny (kość słoniowa ze złotem). Tuż przed wybuchem wojny odnalazła je ekipa Pierre Amandy w

dwóch jamach pod płytami „Świętej Drogi”, gdzie przypuszczalnie pogrzebano je po pożarze budowli w V w.p.n.e.

Wszystkie trzy obiekty pochodzą z połowy VI w.p.n.e., a bogactwo ich wykonania i duża wartość materialna nasunęły przypuszczenie, że mogły być one darami wotywnymi lidyjskiego króla Krezusa, często korzystającego z delfickiej wyroczni. Na przeszkodzie stanął fakt, że podróżnik Pauzaniasz jeszcze w II w.p.n.e. opisywał te dary Krezusa jako zupełnie dobrze zachowane. Główny posągów przedstawiają najprawdopodobniej boga Apolla i boginię Artemidę i niemal na pewno pochodzą ze zniszczonego pożarem skarbcza miast jońskich w Delfach, o czym świadczy poczerniała w ogniu kość słoniowa obu posągów.

Unikalność tych znalezisk polega na tym, iż są to jedyne tak zachowane przykłady archaicznej rzeźby z kości słoniowej, z której wykonywano wówczas obnażone części ciała; resztę wykonano ze zdobionego złotem drewna, włosy — ze złota, które zachowało blask po 25 wiekach, a rzęsy — z brązu. Wyobrażenie byka rytualnego jest natomiast pierwszym przykładem trójwymiarowej plastyki z puncowanego srebra. Blacha srebrna osadzona była zapewne na drewnianym szkielecie i przytwierdzona gwoździami. Ślady wskazują, że niektóre części ciała byka mające znaczenie szczególne, były pozłacane.

Znaleziska te miały swą burzliwą historię. W trzy miesiące po ich odkryciu wybuchła wojna i część skarbu zabezpieczono wówczas w sejfie greckiego Banku Narodowego, srebrny zaś byk ukryty został w magazynie muzeum delfickiego, gdzie uległ pewnym uszkodzeniom. Po wojnie bardzo długo trwało restaurowanie wszystkich obiektów, a następnie wyniknął spór o prawo do nich pomiędzy muzeum ateńskim i delfickim.

Z kolei wykopaliska przeprowadzone przez amerykańskich archeologów w sławnej ze starożytnych igrzysk Nemei, pozwoliły ustalić, że twórcami pierwszego tunelu, budowli sklepionej, byli najpewniej Grecy, a nie — jak sądzono dotychczas — Rzymianie. Na terenie okręgu igrzysk nemejskich odsłonięto bowiem 40-metrowej długości tunel, służący za westybul dla zawodników i za podziemne przejście na płytę stadionu. Wykonane przypuszczalnie przez zawodników i ich trenerów napisy na ścianach tunelu pozwalają wnioskować, że powstał on ok. 360 r. p.n.e. Znaleziska monet dowodzą ponadto, że nemejski tunel pełnił funkcję schronienia dla chrześcijan prześladowanych podczas najeźdu Słowian w VI stuleciu.

Niespodzianki świata antycznego krwią się nie tylko na lądzie, ale i w morzu, gdzie ich odsłonięcie i należyte zabezpieczenie przyczynia jednak dodatkowych trudności. W połowie ub. roku na dnie morskim pomiędzy wyspami Spetsai i Hydra natrafiono na stosunkowo dobrze zachowane szczątki greckiego statku handlowego z I w.n.e. Wśród szczątków okrętu zalegających na głębokości ok. 50 m i pokrytych grubą warstwą ochronnego mułu znaleziono 250 amfor służących wówczas do transportu wina, zboża i oliwy. Znalezisko to określono jako niezwykłe i wyjątkowe w greckich kronikach archeologicznych, nie wiadomo natomiast w jaki sposób szczątki statku zostaną wydobyte na powierzchnię i zabezpieczone.

Rząd grecki nosi się jednak z zamiarem podniesienia z dna resztek okrętów zatopionych w słynnej bitwie pod Akcjum w 31 r. p.n.e. Zdaniem archeologów-pletwonurków i te szczątki zachowały się bardzo dobrze dzięki mulistości dna morskiego. Wydobyć okrętów flot Oktawiana i Kleopatry zajmie się ekipa greckich i amerykańskich archeologów podwodnych. Żywi się przy tym nadzieje, że wydobyte zostaną też liczne inne przedmioty — milczący świadek jednej z największych bitew starożytności.



Ateny — Olimpejon





Kamień Pomorski. Widok ogólny i katedra z XII w.

# Księżna Anastazja

Kiedy latem 1177 roku księżniczka Anastazja, najmłodsza córka Mieszka Starego, opuszczała Poznań udając się do swego małżonka, księcia Bogusława I, na Pomorze Zachodnie, rozpoczynała kontynuację przyjaznych stosunków Wielkopolski z Pomorzem Zachodnim. Książę Mieszko, ambitny syn Bolesława Krzywoustego, prężny władca dążący bezskutecznie do restytucji monarchii w Polsce, wykorzystywał swe liczne potomstwo do realizacji politycznych zamierzeń. Podobnie traktował małżeństwo młodziutkiej Anastazji, wydając ją za dużo starszego, owdowiałego księcia Bogusława I, syna Warcisława.

Rok 1177 był okresem wzrostu niezadowolenia możnowładców polskich z silnych rządów Mieszka Starego. Książę, aktualnie zasiadający jako najstarszy z rodu na tronie krakowskim, zawsze wykazywał zainteresowanie sprawami pomorskimi. Za czasów jego ojca, Bolesława Krzywoustego, rozciągnęło się zwierzchnictwo polskie nad Pomorzem Zachodnim i dotąd przetrwały tam wpływy piastowskie. Pomorze Zachodnie narażone było na ciągłe ataki ze strony Duńczyków, Brandenburczyków i książąt saskich, którzy grabili kraj i rozpoczęli jego ekspansję. Osłabienie Polski, spowodowane rozbiemem dzielnicowym, od roku 1138 nie dawało władcom pomorskim należytej gwarancji niezawisłości. Książę Bogusław I i jego brat młodszy, Kazimierz, dążyli do utrzymania sojuszu z Wielkopolską. Wyrazem propiastowskiej orientacji Bogusława było małżeństwo jego najstarszego syna, Racibora, z córką Mieszka Starego, Salomeą, i potem, po owdowieniu, jego związek z Anastazją.

Małżeństwo Anastazji z Bogusławem zawarte zostało przypuszczalnie na wiosnę 1177 roku. Pan młody liczył ponad czterdzieści lat i był ojcem kilkorga dzieci po zmarłej księżniczce duńskiej. Anastazja nie miała ukończonych szesnastu lat. Posłuszną ojcu spełniła jego wolę i żegnając rodzinny zamek w Poznaniu myślała już o czekającym ją nowym życiu w Kamieniu, rezydencji książąt zachodniopomorskich, leżącym u ujścia Dziwny do morza.

Niewątpliwie trudno było młodziutkiej Piastównie stawiać pierwsze kroki na nowej ziemi, ale Anastazja odziedziczyła po przodkach energię i dzielność, toteż szybko dostosowała się do zmienionego trybu życia. Pogodna, pełna życzliwości dla otoczenia, serdeczna dla chorych, a przy tym pełna osobistego wdzięku, pozyskała sympatię dworzaków i poddanych.

Młoda księżna polubiła Kamień, niewielką osadę o drewnianej zabudowie, ożywioną budowaniem świątyni, z osiedlem rybaków po zachodniej stronie grodu.

Życie na zamku płynęło skromnie, bez wielkich fet i uct. Goście zjeżdżali rzadko, za to do księcia stale przybywali posłańcy: od brata Kazimierza, od szczecińskiego możnowładcy i krewnego, Warcisława Świętoborzyca, to od książąt rugijskich, to od syna, Racibora, albo od teścia, Mieszka Starego, wypędzonego z Krakowa przez panów polskich, a z Poznania przez najstarszego syna, Odonę.

Księstwo zachodniopomorskie było w ciągłym niebezpieczeństwie. Ataki wrogów sąsiadów i grabieże powtarzały się coraz częściej. Sytuacja Bogusława i Kazimierza stawała się ciężka. Napór Duńczyków, Sasów i Brandenburczyków narastał i książę Bogusław zdawał sobie sprawę, że utrzymanie samodzielnego księstwa staje się niemożliwe. Na pomoc teścia nie mógł liczyć, gdyż Mieszko sam przebywał na wygnaniu i szukał schronienia u zięciów.

W tej sytuacji Bogusław złożył w roku 1181 hołd cesarzowi Fryderykowi Barbarosie. Zamierzał tym sposobem obronić się przed Danią, niedługo jednak i to posunięcie nie przyniosło pożądanego rezultatu.

Anastazja solidaryzowała się z mężem w trudnych chwilach dla księstwa, ale przede wszystkim pochłaniała ją sprawy gospodarskie na zamku i wychowywanie synów — Bogusława i Kazimierza. Zwyczajem średniowiecznych niewiast, dużo czasu spędzała na tkaniu, haftowaniu i modlitwach. Zajmowała się czynnie działalnością charytatywną, opiekowała się chorymi, rozdzielała jałmużnę ubogim. Z własnej inicjatywy uczyła się języka duńskiego, ponieważ na zamku wiele osób posługiwało się tą mową. Kiedy nad księstwem nie wisiała bezpośrednia groźba najazdu, chętnie słuchała pieśni rybaków czy dworek przy lutni i gęślach.

Na zamku kamieńskim i w całym Pomorzu Zachodnim, dzięki Anastazji, rosły wpływy polskie, przejawiające się w popularyzowaniu polskich obyczajów i obrzędów, śpiewaniu polskich pieśni, nadawaniu imion słowiańskich. Za sprawą żony Bogusława w wielu przypadkach rezygnowano z dawnych zwyczajów i nawiązywano do piastowskich tradycji.

W ciężkich chwilach księżna stawała się podporą męża. Pocieszała go po stracie brata i synów. Dotkliwie przejścia przynębiły księcia i być może zaważyły na losach najbliższej bitwy na morzu z Duńczykami w roku 1184, zakończonej niepowodzeniem Bogusława. Kłęsa pozbawiła Pomorzaniek więszości floty i co gorsze — odebrała im wiarę we własne siły. Teraz stało się już nieuchronne ujarzmienie Pomorza Zachodniego i książę musiał się poddać duńskiej przemocy,

a na Anastazję spadł obowiązek troszczenia się, aby mąż powrócił do równowagi psychicznej po doznanych ciosach.

W roku 1186 książę Bogusław złożył hołd królowi duńskiemu Kanutowi VI, rozpoczynając tym okres długiej zależności od Danii. Złożenie hołdu, dokonane go z wielką pompą, z procesją, śpiewami i sztandarami, poprzedziła uczta wydana przez biskupa Absalona, męża stanu Danii i pogromcy Słowian, bardziej rycerza niż duchownego, na której Bogusław upił się z żalu za utratą niepodległości.

Po odzyskaniu Wielkopolski przez Mieszka Starego zaczęły się nawiązywać przerwane więzy z Pomorzem Zachodnim. Dwór kamieński stał się ośrodkiem nastrojów piastowskich, zmierzających do zrzucenia duńskiego zwierzchnictwa. Wprawdzie wysłaniem z Wielkopolski nie udało się pozyskać księcia Bogusława (do końca życia wiernego Danii), ale wywarli wpływ na księżną Anastazję, zdecydowanie opowiadającą się za sojuszem z Polską.

W marcu 1187 roku książę Bogusław zmarł nagle w czasie polowania, osierocając dwóch małoletnich synów. Przed śmiercią prosił, by żona wytrwała w wierności Danii.

Młoda wdowa, wypełniając ostatnią wolę męża, udała się wraz z synami do króla Kanuta VI, który nadał małoletnim książętom dziedzictwo i wyznaczył Jaromira (księcia Rugii) ich opiekunem, a nie Warcisława Świętoborzyca, pełniącego faktycznie te obowiązki.

Po powrocie Anastazji z Danii odbył się wiec z udziałem pomorskiego rycerstwa, na którym doszło do wypowiedzenia posłuszeństwa Duńczykom. W wirze wypadków księżna odegrała decydującą rolę. Prawdopodobnie liczono na pomoc z Wielkopolski, która nie nadeszła. Powstanie zmusiło Kanuta VI do zbrojnej wyprawy, w wyniku której przywrócono zależność. Odtąd księżna zmieniała taktykę postępowania. Zdając sobie sprawę, że całkowita niezawisłość księstwa jest niemożliwa, czyni wysiłki zmierzające do podniesienia gospodarki na ziemiach zachodniopomorskich. Regularnie płaci Danii trybut, dba o rolnictwo i zachowanie pokoju.

Rządy regencyjne Anastazji stanowiły pomyślny okres dla Pomorza Zachodniego, które wolne od walk i napadów, nie nekane pożarami i grabieżami, zaczęło powoli rozkwitać.

Księżna rządziła w imieniu synów do 1212 roku i dokumenty określały ją „ducissa Pomoranorum”.

Mijały lata. Synowie Anastazji założyli własne rodziny: Bogusław poślubił córkę gdańskiego Mściwoja I. Mirosława, i rezydował w Szczecinie, zaś Kazimierz pojął za żonę księżniczkę Ingarde, córkę króla Waldemara II, przejmując Dvmin. Na zamku w Kamieniu została Anastazja z siostrą Salomeą.

Schyłkowe lata życia Anastazji naznaczone były bólem i żałobą. W wieku czterdziestu lat zmarł nagle Bogusław II, pozostawiając małoletniego syna, Barnima. Wkrótce po nim, w czasie powrotu z pielgrzymki do Ziemi Świętej, śmierć dościgała Kazimierza, osierocającego syna, Warcisława.

I znów Anastazja, wspólnie z synowymi, sprawowała regencję w imieniu wnuków. Było to niełatwe zadanie na jej wiek. Ciężki, odpowiedzialny obowiązek wypełniała bez zarzutu, pragnąc najlepiej przystosować do rządzenia Barnima oraz Warcisława i zostawić im dziedzictwo w należyłym porządku.

Kiedy młodzi książęta dorosli i obteśli władzę — każdy w swojej ziemi — odetchnęła z ulgą. Widząc mądre i sprawiedliwe poczynania Barnima ze spokojem i ufnością myślała o przyszłości Pomorza Zachodniego.

Około 1235 roku opuściła Kamień i udała się do Trzebiatowa, gdzie ufundowała klasztor zwany „Ogrodem Marii”. W ciszy klasztornej spędziła kilka lat na modlitwach, dobrych uczynkach i kontemplacjach. Zmarła po roku 1242, przeżywszy ponad osiemdziesiąt lat.

GABRIELA DANIELEWICZ





zy boks jest szkodliwy dla zdrowia? Czy boks warto w ogóle uprawiać? Takie i podobne pytania nasuwają się nie tylko przeciwnikom boks. Każdy sport wyczynowy naraża zawodnika na kontuzje, a nawet i kalectwo. Różne są stopnie zagrożenia, np: co roku ginie na żużlu w światowym sporcie kilku, a nawet czasami kilkunastu zawodników. Również w boksie takie przypadki nie należą do rzadkości...

Zdaniem znakomitego fachowca i trenera, nieodżałowanego Feliksa Stamma, boks jest sportem twardym, męskim, ale dla zdrowia nieszkodliwym... Gdy oczywiście, zawodnicy będą dobrze wyszkoleni technicznie i nie będą dążyć za wszelką cenę do zwycięstwa... Jednym słowem, boks będą traktować jako szermierkę na pięści, a w niektórych przypadkach — tylko jako samoobronę. Tyle Feliks Stamm. Niestety, nie wszyscy trenerzy są tego zdania. Wielu z nich preferuje boks twardy, agresywny, siłowy, a często nawet brutalny. A gdzie technika, refleks, zwody, uniki, precyzja, szybkość, którymi tak, do niedawna jeszcze, czarowali widzowie nasi bokserzy. I ci przedwojenni, jak: Witold Majchrzycki, Mieczysław Forjański, Tadeusz Rogalski, Edmund Sobkowiak, Antoni Czortek, Aleksander Polus, Józef Pisarski, Henryk Chmielewski, i ci powojenni, jak: Kazimierz Paździor, Jan Gańczka, Leszek Drogosz, Jan Szczepański, Tadeusz Walasek czy Zbigniew Pietrzykowski. Ten ostatni zresztą był prawdziwym dzentelmenem ringu. Slabego przeciwnika wyraźnie oszczędzał, nie chciał go ośmieszyć. Taki boks może być więc prawdziwym sportem, może się nawet podobać... To była prawdziwa szkoła polskiego boks. I dzisiaj nasi trenerzy — Michał Szczepan oraz Czesław Ptak idą tą samą drogą, wytyczoną przez Feliksa Stamma, choć nie zawsze dają to gwarancję sukcesów. Boks polski nadal jednak odnosi sukcesy, dowodem tego są zdobyte medale olimpijskie, mistrzostwo Europy, czy też zdobycie przez Henryka Średnickiego tytułu mistrza świata w wadze muszej.

Dzisiaj pragniemy Państwu przypomnieć historię prawdziwego boksera sportowca — niezjącego już Aleksandra Polusa. Jest to wspomnienie o jednym z naszych bokserów, który nie tylko zachwycał widzów techniką, refleksem i szybkością, ale w życiu rodzinnym i towarzyskim był wspaniałym, wartościowym człowiekiem. Jest to również wspomnienie (o zmarłym 2 kwietnia 1976 r.) znakomitym trenerze, a jednocześnie wychowawcy młodzieży — Feliksie Stammie. Dla tych wszystkich, którzy widzieli przez długie lata Feliksa Stamma w narożniku białoczerwonych, trudno pogodzić się z Jego odejściem. W sobotni wieczór 2-go kwietnia rozesała się wiadomość o Jego zgonie. Nie wszyscy wiedzieli, że od dłuższego czasu chorował, leżał w szpitalu. Jeszcze podczas katowickich mistrzostw Europy w boksie Feliks Stamm, choć już wycofał się z kierowania kadrami reprezentacyjną, był przecież jedną z najpopularniejszych postaci w katowickiej hali, stale oblegany przez znajomych i obcych, przez polskich i zagranicznych znawców boks. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy dzisiaj, że Feliks Stamm był najpopularniejszą i najsłynniejszą postacią amatorskiego pięściarstwa światowego. Sławna była w całym świecie szkoła boks „papy Stamma”, jak go nazywano wielu. Dominowała w niej zasada bardzo ciężkiej pracy, a równocześnie panował nastrój, w którym wysiłki szkoleniowe jakby nie dawały się we znaki.

Stamm był nie tylko mistrzem budowania sportowej formy, lecz także mistrzem kształtowania nastrojów. I to nie tylko wówczas, gdy sekundował zawodnikowi w walce o olimpijskie medale, lecz także w sali treningowej, w mieszkaniu, na ulicy, wszędzie. Jakże wszechstronny był nasz boks za czasów Feliksa Stamma; pełen wachlarz pięściarskich temperamentów — od wspaniałych stylistów, techników, przez zawodników wszystko umiejących, aż do twardych fajterów. Stamm bowiem nikomu nie odbierał jego wrodzonych zdolności, nie przestawiał go na siłę. Tylko

dzięki temu tytuły mistrzów Europy zdobywali tacy „wyjątkowscy”, jak: Leszek Drogosz — zawodnik bez ciosu, ale za to o bajecznym refleksie; „zażarty fajter” Jerzy Kulej, wyrachowany i myślący w ringu Kazimierz Paździor i wszechstronny Zbigniew Pietrzykowski; Kukier i Kruza, Stafaniuk i Adamski, a z przedwojennych Polus, Kolczynski, Kajnar czy Szymura. Dla naszych chłopców-bokserów był „papa” — czyli ojcem.

Aby lepiej poznać Feliksa Stamma, wróćmy na chwilę do lat trzydziestych — do ówczesnych sukcesów naszego pięściarstwa. Cofnijmy się zatem do roku 1937...

W odbywających się wtedy w Mediolanie Bokserskich Mistrzostwach Europy nadspodziewane sukcesy odnoszą biało-

i że stać go było jeszcze na skuteczny finisz.

I tak, po raz pierwszy w dziejach naszego pięściarstwa, Polak zdobył tytuł mistrza Europy!

Po ceremonii (odegraniu hymnu narodowego) Aleks zwrócił się do Feliksa Stamma i zdołał tylko wykrztusić (mając łzy w oczach): — „Dziękuję, panie Felu, dziękuję, że pan mnie tak skrzyczał!”... Drugi tytuł dla Polski zdobył w tym dniu Henryk Chmielewski, wygrywając w finale z Holendrem Dekkterem. Tytuł wicemistrza wywalczył jeszcze w wadze półśredniej Franciszek Szymura, będąc w ringu pięściarzem znacznie lepszym od

## Antytalent mistrzem Europy

-czerwoni. Aż czterech polskich pięściarzy walczy w finale o tytuły mistrzów. W wadze muszej Edmund Sobkowiak, po bardzo wyrównanej walce (w której równie dobrze mógł być zwycięzcą) przegrywa z Węgrem Eneksem. W piórkowej do finału doszli: nasz znakomity Aleksander Polus, nie mający nigdy szczęścia u sędziów oraz Włocha Cartonesi. Własny ring i publiczność faworyzują raczej Włocha, zapowiada się więc zażarty pojedynek i żywiołowy doping dla Cartonesiego. Nie więc dziwnego, że Polak wchodzi na ring zdenerwowany. Nie może się opanować, widać, jak nerwowo drepce w swoim narożniku. Jego przeciwnik czuje się na własnym ringu znacznie pewniej, jest silny i potrafi skutecznie uderzyć. Na dodatek Cartonesi walczy z odwrotną pozycją, co jeszcze więcej dezorientuje „Aleksa”. Cartonesi atakuje niemal z każdej sytuacji, a zdenerwowany Polus zapomina o swej najsłabszej broni — kontrach. Zaskoczony nagłymi atakami, spóźnia się z kontrą, albo ciosy jego prują powietrze... Runda wyraźnie dla Włocha. Polak niepewnie powraca do narożnika...

Stamm jest w rozterce. Co powiedzieć swemu zawodnikowi, jaką taktykę mu doradzić?... Czy skrzyżać chłopca, czy też starać się łagodnie doradzić, co ma dalej czynić. Papa Feliks wybrał taktykę raczej ofensywną:

— Słuchaj Alek, jak ty walczysz, zapomnieliś zupełnie o kontrach. Jesteś lepszy od „makaroniarza” o klasę, a przegrywasz z nim walce. Tak ładnie dotychczas boksowałeś, że aż prasa nazwała cię „maestro”, a teraz walczysz jak nowicjusz. Gdzie ty masz czułewku, głowę?... Teraz musisz przejść do ataku i zepchnąć przeciwnika do obrony. Wierz w siebie, bo ty to potrafisz.

I stało się coś dziwnego. Alek (bo tak nazywają go wszyscy koledzy z reprezentacji), zaciska zęby i przestaje się denerwować... Nie może doczekać się gongu, minuta wydaje się mu zbyt długą... Natychmiast po gongu skoczył do przodu, przebiegł przez ring i był już przy narożniku Włocha. Cartonesi robi dobrą minę do złej gry i rusza niedbale do ataku. Uważa już naiwyraźniej, że przeciwnik ma dosyć. Polus jednak nie dał mu czasu na rozmyślanie. Wyprowadzał ciosy z każdej pozycji, niesłychanie szybkie i precyzyjne. Teraz z kolei Cartonesi traci głowę — walczy nieczysto i otrzymuje napomnienie. Polak oddał w drugiej rundzie z procentem wszystkie ciosy, zainkasowane w pierwszym starciu. Trzecia więc runda decydowała o wyniku i tytule. Wprawdzie już nie starczyło Polakowi tyłu sił na trzecią rundę, ale utrzymał inicjatywę. Okazało się że jest w lepszej kondycji fizycznej niż przeciwnik,

Włocha Musiniv. W walce tej sędziowie „robili” wszystko, aby przyznać zwycięstwo Musinie, bo gdyby przegrał, to drużyna włoska w klasyfikacji drużynowej spadłaby na trzecie miejsce, a byłby to zbyt wielki dramat dla gospodarzy. Ale i tak sukces był ogromny — bokserzy nasi zdobyli drużynowe mistrzostwo Europy! Wielkie pasmo sukcesów polskich pięściarzy przewała, niestety, wojna...

Wróćmy jeszcze jednak do Aleksandra Polusa. Dziwne były początki jego kariery. W 1929 r. zjawił się w sali treningowej poznańskiej „Warty” młodziutki, bardzo szczupły chłopiec.

— Nazywam się Aleksander Polus — przedstawił się. Chciałbym nauczyć się boks. Na kursie prowadzonym przez Stamma. Aleks. bo tak nazywano chłopca — nie wyróżnił się niczym specjalnym. Wprost przeciwnie, wszyscy orzekli, że jest po prostu „niezdara”, antytalent. Kierownictwo kursu postanowiło, że musi powtórzyć kurs — równało się to jakby pozostaniu w klasie na drugi rok. Polus okazał się jednak wybitnie ambitny. Nie zniechęcił się i kurs powtórzył. Nadal jednak nie czynił większych postępów. Wówczas kierownik sekcji, p. Szczyński zwrócił się do Feliksa Stamma: — Z tego tam Polusa nic nie wyrośnie. Może byś mu doradził, aby rzucił boks i zabrał się do jakiegoś innego sportu, bo na ambicji, mu nie zbywa...

Żał się jednak zrobiło p. Feliksowi ambitnego chłopca. Zdawał sobie sprawę, że odsunięcie go od treningów będzie dla chłopca zbyt dużym wstrząsem. Jednocześnie wiedział, że jest to zawodnik mało odważny, kurczowo trzymający się w defensywie — a jeśli atakuje, to wyprowadza ciosy zbyt szeroko. Postanowił więc należało go uczyć wyprowadzania defensywnego, i zaczął szkolić go w tym kierunku. Chłopiec miał długie ręce, a więc należało go nauczyć wyprowadzania precyzyjnych lewych prostych. Nauka nie poszła w las, a przewidywania p. Feliksa sprawdziły się. Polus zaczął boksować coraz lepiej, a w walce defensywnej nie miał równych sobie.

Ku ogólnemu zdziwieniu ten „niezdara” w 1932 r. zdobył tytuł mistrza Polski w wadze koguciej. Później, walcząc w piórkowej, był jednym z najlepszych naszych bokserów, by wreszcie w 1937 r. sięgnąć po tytuł mistrza Europy i — jako pierwszy z Polaków — zdobyć to zaszczytne trofeum. Wielu jeszcze znakomitych pięściarzy wychował Feliks Stamm. I choć nie wszyscy oni zdobywali z tych czy innych powodów tytuły mistrzów Europy, wielu z nich należało do najlepszych w Europie, a nawet w świecie.

CZESŁAW BUJNICKI



— dzieciom

**Klechda domowa**

Jest taki parów, niedaleko miasteczka Nieszawy, dziwny bardzo, o którym różne wieści krążą od niepamiętnych czasów. W parowie tym, nachylonym prosto do Wisły, stoi stary, zapadły młyn i zgrzyta omszałym kołem. Jest tak pochylony nad wodą, że prawie go nie widać zza kępy drzew i krzewów. Nieopodal zaś leży ogromny gład narzutowy...

Zawsze, jak tylko ludzie sięgają pamięcią, mówiono, że właśnie pod tym ogromnym gładem spoczywa wielki skarb. Powiadają też ludzie, że skarb ten ma stać się własnością tego, kto w ciemną, burzliwą noc, zdoła własnymi rękoma gład ten odwalić. Wielu było chętnych na ten ukryty skarb, ale — po obejrzeniu niesamowicie wielkiego kamienia — jakoś im ta chęć na pieniądze szybko mijała...

Mijały lata, aż zjawił się pewnego razu w tej okolicy jakiś obcy człowiek. Dziwny był, nie bał się niczego — ni nocy ciemnej, ni licha, które budziło się nocami w pobliżu parowu. Bary miał szerokie i rozłożyste, w rękach moc ogromną. Posłuchał i on o skarbach, pod gładem skrytych, i czekał tylko chwili sposobnej, by nimi zawładnąć. Poszedł raz do parowu, kamień obejrzał, wybrał się tam jeszcze któregoś innego razu, i milczał jak zaklęty. Na wszelkie pytania mieszkańców wioski odpowiadał niechętnie, że pora jego jeszcze nie nadeszła.

Nastąpiła jednak w końcu taka noc, jakiej najstarsi ludzie, żyjący nad Wisłą, nie pamiętali. Wokół wioski szalała łuna pożaru, rzeka zdawało się, że oszalała. Wściekła szaruga spędziła z nocnego połowu rybaków, o mało nie pozbawiając życia kilku z nich. Jak powiadali ludziska, rozpełtało się isne piekło!

Na skutek tych właśnie wydarzeń zapomniano na kilka dni o dziwnym przybyszu, któremu zachciało się skarbów. Kiedy się jednak znów pokazał w wiosce, zupełnie nie przypominał już dawnego zucha. Skurczył się jakoś, zmalał, oczy miał zapadłe i niespokojne, dziwnie błyszczące. Niechętnie opowiadał, co się z nim działo. A było to mniej więcej tak:

Jak tylko noc szumem i gwizdem burzy ogarnęła ziemię, zapuścił się w gęstwinę. Wicher tak szalał w parowie, że aż topole kładły się po ziemi. Wszystko razem kołtowało się tak, jak w pustym, głuchym dzbanie. Powietrze tłućko się, łamało i waliło na dno parowu! W pewnym momencie, gdzieś niedaleko niego trzasnął piorun, a on, przerażony, padł na ziemię. W jaskrawym świetle błyskawicy widział, jak koło jego twarzy śmiesznie trzęsły się najdrobniejsze trawki. Było coś niesamowitego w tym, jak te maleństwa się bały! I to prawdopodobnie dodało mu odwagi. Zerwał się i ruszył naprzód.

Wspinał się piaszczystą ścieżką prosto do kamienia. Piasek, zmoczony deszczem, usuwał się mu spod stóp, ale on niezmo-



dowanie piął się dalej. Drogę zastępowały mu rozlatane na wicherze krzaki, a różne kolczaki, których nigdy nie widział tu za dnia, czepiały mu się kolan. Przed nim stała nieprzebyta, ciemna ściana wichury.

W tej chwili już nie pamiętał, jak dostał się do gładu. Zaledwie jednak podszedł się barkiem pod kamień, zaczęły grzmieć pioruny, nagle światło olśniło dolinę, a wicher przeciągle zawył, jak jakiś potępieniec. Gdy chciał się już wyprostować, nagle wydało mu się, że zaczyna rosnać, podobnie jak rośnie drzewo... Uczuł, że wstępuje w niego cała moc i potęga szalejącej dokoła niego burzy. Oparł się ręką o kamień, a ten... odwrócił się posłusznie. Wówczas dopiero aż zatrzęsł się ze strachu, i uciekł do domu.

Czy tak właśnie było naprawdę? Nie wiadomo. Ludzie jednak mówili, że pod tym kamieniem siedziała ogromna ropucha o fosforyzujących oczach, która wtedy zarechotała i rzekła: „Bóg zapłać”. Inni znowu byli zdania, że ropucha nic nie powiedziała, tylko otwarła swoją paszczę, z której coś błysnęło... Jak było rzeczywistości, nigdy jednak się nie dowiedzieli, ponieważ przybłęda któregoś dnia tak samo znikł, jak kiedyś się pojawił.

Taka jest ponoć historia kamienia, który spoczywa w parowie koło Nieszawy, cichy od mchów, i senny od miodowników pachnących na zboczach.

Cała ta historia, dziś wam opowiedziana, musiała się dziać bardzo dawno temu, bo mchy zdążyły już szczerze utkać legowisko tego olbrzyma-gładu, skąd poruszyła go raz chciwość człowieka... A ile jeszcze innych, dziwnych rzeczy, i ile zapomnianych skarbów leży gdzieś głęboko pod ziemią, tego nie wie żaden, nawet najstarszy człowiek na świecie!

Oprac. EL.

**Zakochane słońko**

- Pokochaj mnie! — słońeczko prosi  
różę. —  
Ciepło ci przy mnie, jasno, twą  
przyszłość ci wywróżę.
- Ukłony ślę — ku tobie, jasny kwiecie,  
Ciebie jedyną widzę na całym bożym  
świecie.
- Spójrz, chociaż raz, ku niebu  
błękitnemu,  
Nadzieję jakąś daj, słońeczku  
szalonemu.
- Och, dość tych próśb! — odpowie  
róża dumnie.  
żem najpiękniejsza, prawda, zaś  
waćpan zbyt patrzy ku mnie.
- Różyczko ma, obejmę cię promieniem.  
Gorące serce mam, twe płatki  
zarumienię.
- Dzwoneczki wkrąg na świadków  
ślubu sproszę,  
W czareczkach ich weselne wino  
wniosę.
- Obrączki dwie założę na listeczki  
Żoneczki mej, różanej panienczki.
- Odpowiedz mi, jam panem tego świata,  
Czy zechcesz mnie, czy widzisz  
we mnie brata?
- Nudzisz już mnie — ziewnęła  
narzeczona.  
Jam delikatna, młoda i nie dla pana  
żona.
- Ulituj się! — załkało biedne słońko.
- Nie, nie, po trzykroć nie! Nie będę  
twoją żonką!  
Wtem chmurki dwie zakryły twarz  
słońeczka,  
Płakały płaczki rzewnie, ulewnie  
po listeczkach.
- Złocisty Pan spogląda dziś z ukosa  
Na różę swą, od której dostał ... kosza!

MALGORZATA KĄPIŃSKA





# Pogadanki O HISTORII KOŚCIOŁA

## ROZWÓJ MISJI CHRZEŚCIJAŃSKICH W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

Chrześcijanie pomni na nakaz Jezusa Chrystusa, zawarty w słowach: „Idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody”, zawsze starali się dzielić Dobrą Nowiną z tymi, którzy jej nie znali, lub posiadali jedynie w fragmentach. Stąd, od początku istnienia Kościoła Chrystusowego, żyje w nim ruch misyjny. Rozwijają go nie tylko potężne wspólnoty chrześcijańskie, takie jak prawosławie czy Kościół Rzymskokatolicki, ale nawet niewielkie rodziny kościelne, wyrosłe na ich gruncie, czy szczególnie na gruncie ewangelicyzmu.

Zainteresowane były misjami nawet całe państwa, chociaż z

przyziemnych i nie zawsze szlachetnych pobudek. Nie ulega jednak wątpliwości, że uprawiany przez poszczególne państwa i narody ruch kolonialny sprzyjał rozkwitowi akcji misyjnej. Wielki wzrost środków komunikacyjnych ułatwiał poruszanie się po świecie. Budowano dobre, bite drogi i wspaniałe, bezpieczne statki morskie i rzeczne. Mijają bezpowrotnie czasy, gdy misjonarz był szańcem bożym, zdany jedynie na własne siły, zdrowy organizm i gorące serce. W głąb egzotycznych lądów ruszają całe wyprawy złożone z naukowców zaopatrzonych w coraz to doskonalszy sprzęt badawczy, środki lecznicze i żywnościowe, oraz ochronę dobrze uzbrojonych żołnierzy. Często misjonarz sam jest badaczem, lub badacz misjonarzem. Poznanie ludów i lądów pozwala na naukowe opracowanie metod skuteczniejszej pracy misyjnej. Powstają specjalne szkoły misyjne, gdzie przyszli głosiciele Ewangelii, poznają język i kulturę narodu, któremu mają nieść Dobrą Nowinę, uczą się podstaw medycyny i sposobów wyrabiania podstawowych leków, by razem ze światłem dla ducha, mogli nieść ulgę dla chorych ciał. Dzięki tym dodatkowym umiejętnościom, misjonarze szybciej zyskiwali zaufanie pogan i mogli skuteczniej działać na polu chrystianizacji ludów.

Jeśli dotychczas praca misyjna była dziedziną wyłącznie męską,

teraz włączają się do tej pracy również kobiety i to nie tylko jako sztab pomocniczy. We wszystkich Kościołach powstają towarzystwa misyjne, wspierające duchowo i finansowo działania ewangelizacyjne swoich wspólnot.

Od strony organizacyjnej najlepiej i najsprawniej prowadzą misje wspólnoty ewangelickie. Kościół Rzymskokatolicki nie chce pozostać w tyle. Już Pius VII w 1817 roku reorganizuje Kongregację Propagandy Wiary, a następnym papieżem, zwłaszcza Leon XIII i Pius X, troszczą się o seminaria misyjne i skłaniają coraz to nowe formacje zakonne do pracy na polu krzewienia Ewangelii. Ogromne sukcesy chrystianizacyjne osiągają Kościoły ewangelickie, gdyż wprężyły do tej akcji tubylców, dając im do ręki Pismo św., tłumaczone na języki i narzecza zrozumiałe w danym kraju. Braki w tym względzie katolicyzm odraabia do chwili obecnej.

Misjonarze katolicy, głównie z Francji, Włoch, Hiszpanii i Polski pracują w wielu krajach, ale przeważnie tam, gdzie sięga kolonizacja francuska i hiszpańsko-portugalska, a więc Ameryka Południowa i Środkowa, Afryka Południowa oraz Kanada i Stany Zjednoczone.

Ewangelicy prowadzą misje głównie w koloniach angielskich, holenderskich (Indie, Afryka Po-

łudniowa, Ameryka Północna i Australia). Prawosławne Kościoły głoszą Słowo Boże na Bliskim Wschodzie i na ogromnych obszarach Syberii. Praca misyjna nie idzie łatwo. Na przeszkodzie staje zdecydowana postawa, np. wyznawców islamu i mozaizmu, ale nie tylko. Coraz częściej główną przeszkodą staje się podział chrześcijaństwa na rywalizujące między sobą wyznania. Przeciaganie na swoją stronę neofitów z jednego wyznania do drugiego, obrzucanie oszczerstwami sąsiedniej misji innego chrześcijańskiego Kościoła, zniechęcały katechumentów do przyjmowania Chrztu św. i studziły gorliwość w wierze.

Oddani sprawie Bożej ludzie boleli nad takim stanem. Zaczęto szukać sposobu porozumienia się ponad istniejącymi różnicami w rodzinie Kościołów chrześcijańskich. Przecież „łowienie dusz” odbywać się powinno nie tyle dla konkretnej wspólnoty, co dla Chrystusa! I znów inicjatywa wyszła od działaczy protestanckich. Uczynił to w 1910 roku doktor John Mott, przewodniczący I Międzynarodowej Komisji Misyjnej, zwołanej do Edynburga. Powstała wówczas Światowa Rada Misyjna na razie złożona z samych protestantów. Pierwszy krok w kierunku uporządkowania działań misyjnych i ekumenicznego zbliżenia Kościołów został zrobiony.

**Ks. ALEKSANDER BIELEC**

## PORADY PORADY PORADY

### Lekarskie

### Lepiej zapobiegać

Po raz pierwszy z opisem tej choroby spotykamy się już w egipskich papirusach sprzed 3600 lat. W 1800 lat później znakomity w owych czasach lekarz Galen opisał tę chorobę pod nazwą „carcinoma”.

Różne są teorie na temat przyczyn powodujących raka, żadna jednak nie znalazła ostatecznego potwierdzenia. Wśród przyczyn zewnętrznych wymienia się takie czynniki, jak: nadużywanie nikotyny, gazy spalinyowe, pyły przemysłowe, pewne gatunki wirusów. Nie bez znaczenia też są warunki życiowe człowieka. Naukowcy zauważyli na przykład, że wśród kobiet mahometańskich oraz Żydówek notuje się znacznie mniejszą zachorowalność na raka narządów rodnych, co wydaje się pozostać w związku z religijnym rytuałem obrzezania.

Jeśli idzie o schorzenia nowotworowe narządów rodnych kobiet, to już dość dawno stwierdzono, że łatwiej im zapobiegać, niż później leczyć. Uchwycenie choroby w początkowym jej stadium daje szansę pokonania jej i całkowitego wyleczenia. Opóźnianie interwencji lekarskich bardzo zmniejsza szansę całkowitego zwalczania choroby.

Konieczność zasięgnięcia porady lekarza występuje wówczas, gdy zaobserwuje się u siebie:



- ranę, która się długo nie goi;
- zgrubienie lub guzek na sutku;
- powtarzające się krwawienia ginekologiczne;
- zaburzenia w trawieniu, trudności przy polykaniu;
- utrzymująca się długi czas chrypka lub kaszel.

Nie znaczy to, oczywiście, że stwierdzenie u siebie któregoś z tych objawów jest równoznaczne z instnieniem raka w organizmie. Rozpoznanie należy jednak zawsze do lekarza.

A. M.

## W naszym wnętrzu są metale

Wszystko, co żyje, utworzone jest w zasadzie z węgla, azotu, tlenu i wodoru. Tlen z wodorem to woda, azot i tlen to atmosfera, którą oddychamy, a wszystko razem wymieszane tworzy zadziwiający zjawisko — nasze życie. Wymieniliśmy tu tylko cztery pierwiastki, ale trzeba dodać szereg innych, które również są niezbędne dla naszego życia.

Naukowcy stwierdzili, że wszystkie metale, wyszczególnione w Tablicy Mendelejewa, w mniejszym lub większym stopniu są składnikami naszego ciała.

Jednym z pierwszych pierwiastków, na który zwrócono uwagę, jest żelazo. W początku XIX wieku ogłoszono rewelacyjną wiadomość: „Żelazo jest w człowieku. Krew to roztwór żelaza. To składowa część krwi, to źródło barwnika krwi — hemoglobiny”. Opowiadano też w tym czasie wzruszającą historię zakochanego młodzieńca, który swej lubej chciał dać pierścionek żelazny z żelaza, otrzymanego z własnej krwi! Oczywiście, nie udało mu się to, gdyż w organizmie człowieka znajduje się zaledwie parę gramów żelaza,

ale i bez tej odrobiny żelaza życie nie byłoby możliwe.

Żelazo spełnia w naszym organizmie funkcję pośłańca, przenosząc substancje gazowe. Poza tym pomaga przy spalaniu tłuszczów, węglowodanów i innych produktów organicznych. Magazynem do przechowywania żelaza jest białko organiczne — ferrytyna (po łacinie żelazo — ferrum). Ferrytyna zawiera do 30% żelaza. W szpiku kostnym, który — jak wiemy — bierze udział w procesach krwiotwórczych, jest bardzo dużo ferrytyny.

W organizmie naszym znajduje też się cynk, niewiele go (około 500 miligramów), ale działalność jego jest wielostronna, stanowi on składnik insuliny, która reguluje zawartość cukru we krwi i tkankach. Miedź wchodzi w skład wielu fermentów, między innymi tyrozynazy, która pod wpływem słońca pokrywa skórę opalenizną.

Niektóre metale są składnikami witamin, i tak na przykład kobalt znajduje się w witaminie B12, która — jak wiadomo — jest substancją krwiotwórczą. Nawet takie metale, jak rad i uran znajdujemy w naszym organizmie. Działywanie ich nie jest jeszcze całkowicie wyjaśnione, przypuszcza się, że biorą one udział w procesie rozmnażania.

Z tego, dalece niepełnego, wykazu można sobie już zdać sprawę, jak wielką rolę w procesach życia ludzkiego odgrywają metale.

A.M.



## Czy wierzysz w astrologię?



Istnieje pewien zwyczaj, utarty wśród anglosaskich autorów książek popularnonaukowych, że kończą oni swe rozważania serią pytań i odpowiedzi, ułożonych w taki sposób, by dostarczyły wszelkich potrzebnych czytelnikom informacji. Seria taka jest jednocześnie krótkim podsumowaniem omówionej problematyki. Pisząc felietony o „symbolicznym kole czasu” rozmawiałam z dziesiątkami osób, pytałam, słuchałam i odpowiadałam na pytania. Część z nich powtarzała się wielokrotnie, co znaczyło, że pewne problemy związane z astrologią nurtują ludzi. Główne pytanie brzmiało: — Czy wierzysz w astrologię? Było to pytanie trudne. Przyszan, że ani odpowiedź „tak” ani „nie” nie jest w stanie w pełni określić mojego prywatnego stosunku do astrologii. Z trzech możliwości traktowania astrologii: z pozycji wiary, wiedzy i zabawy — wybieram wiedzę, przez którą rozumiem tropienie myśli i koncepcji ludzkich. Starałam się przede wszystkim zrozumieć tych, którzy przed wiekami stworzyli astrologiczne teorie. Myślę jednak, że mają one pewną wartość i dla nas. Nie idzie mi tu o powtarzające się ostatnimi czasy coraz częściej opinie, że „astrologia miała rację, bo naprawdę zależy od sił kosmicznych”. W moim przekonaniu, przydatność astrologii dla naszych potrzeb leży w fakcie, że jej teorie są jedną z wielu dróg poznania samych siebie.

Być może charakterystyki poszczególnych znaków zodiaku są prawdopodobne, być może są błędne. I w jednym i w drugim przypadku są w stanie odegrać pozytywną rolę jako czynnik mobilizujący człowieka. Ale, oczywiście, nie muszą. Nie są też jedyną drogą do analizy własnej osobowości. Można chodzić do psychologa lub księdza, można też przeżyć całe życie w błogiej iluzji o własnej doskonałości lub w ciemnej klatce kompleksów. Astrologia mówi nam — słusznie lub błędnie — jacy jesteśmy. Pokazuje nasze pozytywne i nasze wady. Mówi też, które z wad możemy i powinniśmy zmienić. Uczy nas również tolerancji dla innych, wyjaśnia pewne mechanizmy tworzenia opinii o bliźnich, każe nam przyjmować ludzi takimi jacy są. A nie jest to takie proste, bo nasze sądy o ludziach pełne są krytyki i porównań z własną... doskonałością. Tymczasem w lusterku astrologii ani my nie jesteśmy doskonałi, ani inni nie są okropni. Jesteśmy po prostu ludźmi, świadomymi przeważnie, że jeszcze jest czas, aby się zmienić.

A przepowiednie indywidualne? Czy można im wierzyć? Co sądzić o horoskopach zamieszczanych w gazetach?

Horoskopy gazetowe, przepowiednie, co i kiedy ma się nam zdarzyć, są nieporozumieniem, nawet jeśli układa je ktoś znający się na astrologii, bo bywa też, że są dziełem laika, czerpiącego natchnienie wcale nie z gwiazd. Żadne przepowiednie typu losowego przeznaczone dla wszystkich ludzi urodzonych w danym znaku nie mogą być prawdziwe. Nie jest to nawet kwestia wiary, lecz po prostu prawideł sztuki. Horoskop losowy zawsze i wszędzie był traktowany indywidualnie.

Natomiast w przypadku horoskopu ułożonego przez fachowca dla określonej osoby... No cóż, każdy astrolog chętnie przytacza statystykę przepowiedni prawdziwych, czyli takich, które się spełniły. Z reguły dobry fachowiec przynosi do kilku pomyłek, ale zaznaczy też, że większość prognozytyków była słuszną.

Jeśli w jakiś sposób zdobędziemy właściwy dla siebie horoskop przyszłościowy, pamiętajmy, że im większą ilość szczegółów podamy tym większa jest szansa, że niektóre fakty się spełnią. Mechanizm wiary we wszelkiego rodzaju wróżby polega na wybiórczej pracy pamięci. Fakty nie spełnione ulegają zapomnieniu, spełnione zaś wpisują się trwale w umysł. „Opinia o wróżce — twierdzi Fanny Deschamps, francuska dziennikarka, która przeszła szkolenie i została wróżką — jest oparta na małej wysepce prawdy w morzu wróżb nieprawdziwych. Przy czym im lepsza jest znajomość psychologii lub intuicja, tym większe są szanse, że „wyspa prawdy” obejmie fakty istotne w życiu.”

Nie znaczy to, że w sposób całkowity neguję kosmiczne wpływy oddziałujące na nasze życie. Daleka jestem jednak od hurraoptymizmu dzisiejszych astrologów, którzy spowici w płaszcze najnowszymi osiągnięć nauki sądzą, że wiedzą już absolutnie wszystko o naturze tych wpływów. Jedno jest pewne — jako dzieci wszechświata musimy się z nim liczyć.

— Cóż więc właściwie możemy otrzymać w horoskopie?

„Ogólnie rzecz biorąc — twierdzi Leszek Szuman — ostrzegam ludzi przed okresami niepowodzeń, które radzę biernie przecze-kać i podając okresy sprzyjające, radząc je wykorzystać”. I w to nam wolno wierzyć. W dzisiejszych czasach podobną rolę spełniają wyliczenia biorytmów, ale uzyskanie komputerowych prognoz jest niemal równie trudne, jak zdobycie rzetelnego horoskopu astrologicznego, a samodzielne obliczenia są tak żmudne i obciążone możliwością błędów, że niezbyt można na nich polegać.

— Jak należy oceniać astrologiczne wskazówki dotyczące doboru małżonka?

Tak jak każdą inną poradę. Miłość nie zawsze wybiera słusznie, nie zawsze też jest przysłowiowo ślepa. Jeżeli ktoś, zawierając związek małżeński, zechce się zastanowić nad trafnością swego wyboru, wskazówki płynące z zodiaku mogą mu tak samo pomóc, jak testy psychologiczne czy dobre rady przyjaciół. Zodiak klasyfikuje ludzi według przynależności do czterech żywiołów: ognia i powietrza oraz wody i ziemi. Każdy żywioł określa pewne cechy psychiczne. Ogień — dynamikę i aktywność, powietrze — lotność myśli i lekkomyślność, woda — wrażliwość i uczciwość, a ziemia — realizm i konkretność. Zodiakalne „porady przedmażeńskie” sugerują łączenie par na zasadzie podobieństw i trudno tej regule odmówić słuszności. Ogień powinien się łączyć z ogniem (Baran, Lew Strzelec), woda z wodą (Ryby, Rak, Skorpion), powietrze z powietrzem (Bliźnięta, Waga, Wodnik), a ziemia z ziemią (Byk, Panna, Koziorożec). Akceptuje się też związki pokrewne, a więc wody z ziemią i powietrza z ogniem, pokrewne wynikające z zależności krzyżowych. Krzyż kardynalny (woli) gwarantuje pomyślność w związkach między Baranem, Rakiem, Wagą i Koziorożcem, (oczywiście, nie ze wszystkimi na raz), krzyż stały (rozumu) odpowiada znakom Byka, Lwa, Skorpiona i Wodnika, a krzyż zmienny (uczucia) sugeruje wszelkie kombinacje małżeńskie w obrębie znaków Bliźnięt, Panny, Strzelca i Ryb.

Z praktyki życiowej i obserwacji mogę tylko podkreślić, że przydziały zodiakalne niczego nie przesądzają. Natomiast znajomość cech charakteru ukochanej osoby bardzo się w życiu przydaje. Krótki przedmażeński kurs psychologii astrologicznej pozwoliłby uniknąć wielu błędów w życiu małżeńskim i rodzinnym.

Panie zameżne z Lwami i Skorpionami nie próbowałyby (może) zamieniać wojowników w pantoflarzy, a mężczyźni przestaliby żądać od żon Bliźniaczek idealnego porządku w domu. Również w stosunku do dzieci moglibyśmy wykazać więcej tolerancji, wiedząc, że Bliźnięta nie będą zbyt pilne, a Koziorożca za żadne skarby światła nie namówimy do występów (czyli tzw. robienia mały) przed gronem cioc. Pamiętając, że złe jest, gdy „modły odprawia ten, kto stworzon do miecza”, moglibyśmy żyć w większej zgodzie z naszymi dziećmi, małżonkami, a także przyjaciółmi i współpracownikami.

Patrzcie w gwiazdy jest, praktycznie rzecz biorąc, patrzaniem w siebie. I jest to główna i podstawowa korzyść płynąca dziś z astrologii w jej tradycyjnej postaci. Ale skłania nas też astrologia do autentycznego patrzenia w gwiazdy, nie po to jednak by wyczytać w nich prawdy o naszych losach, lecz po to, byśmy dziś patrząc w galaktyki i ogarniając myślą najdalsze rejony wszechświata pamiętali, że nasza wiedza rodziła się przed tysiącami lat. Że właśnie astrologia przypomniała ludziom o istnieniu kosmosu, oswajała ich z myślą o nieskończoności. Jeśli dziś bez zdziwienia patrzymy na rakiety ruszające w przestrzeń kosmiczną, jeżeli fakt ten nie budzi w nas lęku ani grozy, to tylko dlatego, że od tysięcy lat astrologia poprzez swoje przepowiednie i teorie, poprzez wpływy na sztukę, naukę i filozofię kształtowała nas — ludzi patrzących w gwiazdy.

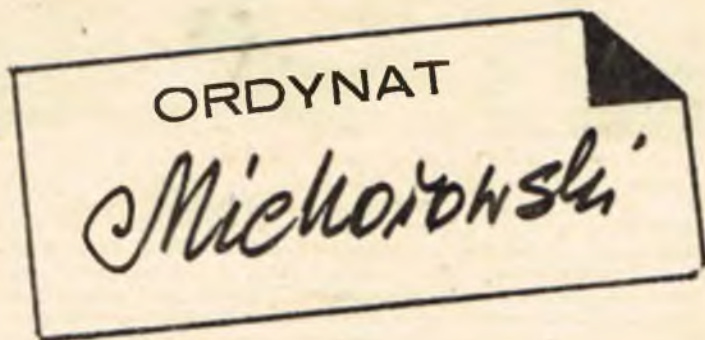
ELŻBIETA KUDLA

Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIA FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wojtowicz, ks. Wiktor Wysoczański (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Ewa Stomal, Małgorzata Zientarska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłat na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał I i półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał I i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312, roczna na 1982 r. — 492 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Zam. 385. Z-38.

**rodzina**  
TYGODNIK KATOLICKI





Strzelec patrzył zdumiony.

— A jaśnie panicz którądy wszedł do zwierzyńca?... Ja mam klucze od bramy.

— Którydy mi się podobało; słyszysz?! Podawaj łódź.

Strzelec spełnił rozkaz, będąc najmocniej przekonany, że młody pan nie zginął, jak mówili w zamku, ale nocował w zwierzyńcu, żeby go kontrolować.

Bohdan miał minę nie wzbudzającą podejrzeń, jedynie przez czoło szła ryśa długa od ostatniego upadku, zakryta zresztą szczelnie czapeczką angielską.

## XXV

— Dokąd w nocy jeździłeś? spytał ordynat Bohdana.

— Marzyłem, walczyłem...

— Spadłem z konia — dodał Waldemar tym samym tonem.

— A tak! Zwalila mnie bestia! No, ale nie żałuję. Wuj mi pozwoli tego konia?

— Na kiedy?

— Dziś zaraz. Pojadę do kartoflerek.

— Nie będziesz spał?

— Ani myślę! Upiłem się nocą i oparami, teraz zaś... obowiązek.

Waldemar uśmiechnął się.

— Jak chcesz! Ale Ramzes za ostrzy.

— Już ja go ugłaskam.

— Tak; ale go nie dostaniesz.

Bohdan się zmieszał.

— Dlaczego?

— Bo nie jesteś gościem w Głębowiczach, lecz praktykantem, więc na warunkach praktykantów. Masz swego wierzchowca, jak każdy z tych panów, wyjątków dla ciebie robić nie mogę.

— Przecie konia nie zmarnuję — burknął Bohdan zły.

— Nie, o to nie chodzi.

Młodzieniec stanął przed ordynatem, usta mu drżały. Zawołał gniewnie:

— Czy ja jestem kuzynem wuja, czy nie?!

— Owszem, jesteś nawet Michorowskim.

— Ach! Więc sędzę, że pewne prawa dla mnie powinny być... uwzględnione.

— Nie, mój drogi. Jesteś kuzynem moim, lecz i pracownikiem. Zatem wyróżniać cię od innych dla nazwiska, nie będę.

Waldemar mówił spokojnie, ale chłopak się gorączkował. Oczy jego cisnęły gniewem.

— Ba! pewno... Gdybym jednak miał miliony.

— To byś mnie nie interesował. Rozumiesz!

— Cóż to? Łaska?! — krzyknął Bohdan, nie panując już nad sobą.

Waldemar spojrział na niego wzrokiem toczą rozprawionym.

— Mój chłopcze, idź spać radzę ci z duszy.

Bohdan postąpił chwilę, oddychał prędko, jakby wyładowując gniew, poczem wybiegł z pokoju bez słowa.

Po jakimś czasie niespodziewanie wrócił. Minę miał wielce uroczystą. — Wuju — rzekł głosem zabawnie smętnym — proszę cię abys zapowiedział całej swej służbie, żeby mnie nie nazywali jasnym panem. Jestem platnym praktykantem, służę, jak oni wszyscy; tytuły zbyt cenne.

Waldemar z trudnością powstrzymał śmiech.

— Masz słuszność; zupełnie zbyt cenne. Ale to załatw sam, ja na takie rzeczy uwagi nie zwracam. Dla ciebie istotnie nie jest to właściwe, możesz przykrócić.

Bohdan zawahał się.

— To będzie dla mnie.. trudne, wuju.

— Przeciwnie! Zabronisz z własnej inicjatywy: tak lepiej.

Bohdan wyszedł zamyślony.

Tegoż dnia każdemu, który go tytułował, odpowiadał krótko i szorstko:

— Nie jestem żadnym jasnym panem, lecz paniczem; ostrzegam ostatni raz! Służba, słysząc to wprawdzie pierwszy raz, zdumiewała się niesłychanie.

Szeptali pomiędzy sobą:

— Zaraz widać, że to taki sam pan, jak nasz ordynat.

Bohdan stał się pilniejszym, interesowały go więcej powierzone mu sprawy. Często miał poważne rozmowy z ordynatem o rolnictwie i o kwestiach administracyjnych. Widoczne było, że się do nich zmuszał, lecz robił to umiejętnie. Czytywał bardzo wiele, pochłaniał wprost bibliotekę głębowicką. Całe noce spędzał na czytaniu, a potem marzył i fantazjował. Musiał jednak czytywać dzieła ekonomiczne i rolnicze, choć się przy nich nudził, bo Waldemar był nieublagany. Bohdan towarzyszył ordynatowi na odczytach, odbywanych dla służby i włościan; pod swój wyłączny zarząd dostał czytelnię ludową i kasę oszczędności. Waldemar kontrolował go w tych zajęciach bardzo skrupulatnie. Pozwalał mu natomiast z zupełną swobodą zaprzyjaźniać się i przebywać z członkami administracji, z kim chciał. Bohdan zyskiwał pełno przyjaciół. Lecz za swoją prawdomówność miał i wrogów. Na hrabiego Herbskiego patrzył niechętnie, odczuwał w nim nieufność względem siebie. Narażał się wszystkim, zupełnie o to nie dbając. Do pana Macieja, który narzekał raz przy nim na starość swą i skołataność sły, Bohdan rzekł bez namysłu:

— Bo najlepiej nie czekać, aż starość nadejdzie: lupnąć sobie w mózg o wiem — i skończone. Ja, gdybym ustanawiał prawa, to bym także nad wszystkich po siedemdziesiątce słać na spacer na pola elizejskie.

Pan Maciej zgorszył się i spojrział na chłopca z wyrzutem:

— Błazen jesteś — rzekł cierpko.

— No, przecie dziadzio nie ma się czym martwić: jeszcze prawodawcą nie jestem.

Herbskiemu tłumaczył z zapalem, że tytuły to największe głupstwo, a główna rzecz to jest pieniądź. Bez pieniędzy nie ma ani tytułu, ani brzucha. I tą aluzją do potężnej tuszy hrabiego gniewał go niesłychanie.

— Więc pan sądzi, że każdy tytuł jest kupiony? — pytał hrabia Dominik.

— Każdy nie każdy, ale dużo. Wierzę w tytuł księcia, bo to polski i stary. Ale hrabia? baron?... Jak go sobie bogaty szlachcic nie kupi sam za granicą, to mu go dadzą dlatego, że bogaty. Jeszcze nie słyszałem, aby ktoś zupełnie biedny otrzymał tytuł hrabiego lub barona.

— Ach! Pan jeszcze wielu rzeczy nie słyszał — odrzekł Herbski, składając pocziwie ręce na wyszykanowanej przez Bohdana, obfitej części ciała.

— Może być — odparł Bohdan. — Nie słyszałem na przykład, aby który z właścicieli kupionego tytułu przyznał się do tego.

Hrabia, który pomimo swej zacności i idei postępowej, miał coś na sumieniu w historii tytułu, zmarszczył się pocieszenie i rzekł tonem pobłażliwym.

— Tak mówisz tylko młodzieńcze, ale gdy za granicą nazwie cię kto hrabią, toś pewno zadowolony.

— Kiedy popełnię jakieś głupstwo, to owszem, mogę być „comtem”, ale w normalnych warunkach wolę, by mnie wcale nie tytułowano.

Hrabia umilkł urażony, Bohdan zaś spojrzawszy na niego, wykrzywił usta i rzekł protekcyjnie:

(26)

c.d.n.

## FOTOGRAFIA MOJEGO DZIECKA



Tegoroczne lato szczerze darzyło nas ciepłem słońca. W upalne dni najlepiej było nad wodą bądź w wodzie. Jak widać na załączonym zdjęciu, dwie panny: Anna Kosińska z Wołomina i Aneta Smolińska z Nidzicy (siostry cioteczne) chętnie korzystały z kąpeli, plawiąc się nawet w wystawionej kolo domu wanie.

